TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 12. Czerwca 1870. № 24.

Drezno, 5—12. Czerwca 1870.

Zjazd w Ems, którego politycznéj doniosłości z razu zaprzeczano, — nie obszedł się zapewne bez narad nad ogólną polityką europejską; — inaczéj przytomność na nim hr. Bismarcka (mimo choroby) pp. d'Oubril i Brunowa wytłumaczyć by się nie dała. Być bardzo może iż kwestja polska, także tam była dotknięta. Skutków tych narad domyśleć się nam łatwo; nawykliśmy się spotykać z niemi zawsze gdy kwestja polska jest na stole. — Od stu lat tępienie i prześladowanie jest niezmiennym wynikiem wszystkich zjazdów i negocjacij.

Zresztą zjazd ten zdaje się być raczej demonstracją i groźbą niż ujawnieniem przymierza, które nie od Ems datuje. Być może iż narodowość polską spotkają nowe uciski, odpowiadające w sposób właściwy na ustępstwa, które uzyskała od nowego gabinetu Austryjackiego.

W Wiedniu uczyniono dla Galicij — przynajmniej nadzieje wielkie, chociaż najgłówniejszy punkt rezolucij, rząd odpowiedzialny przed Sejmem — odrzucono. Natomiast otrzymuje ona Ministra rodaka.

W obec przyrzeczeń i zapewnień, których zarys podają dzienniki, kraj staje w części w opozycij, — w wyczekującej postawie lub z ufnością i zadowolnieniem swobodami które pomyślną przyszłość rokują. —

Usposobienia, pojęcia, plany są rozliczne; każdy niemal z dzienników inaczej się zapatruje na położenie i w czém innem szukać chce ratunku.

Ubolewać należy iż to odrębne stanowisko, które Galicja otrzymać się spodziewa, okupuje ona rozbratem z Czechami, rzuconemi na łup wpływów moskiewskich. —

Próżno by się łudzić że osamotnienie Czech, obejście się bez nich — prędzej lub później zmusi ich do układów i ustępstw. Nowy manifest Palackiego, przypominający prawa korony Ś. Wacława, zaprzysiężone przez Cesarza Ferdynanda w r. 1836, wymownie o tém świadczy.

Tym czasem około jądra opozycij Czeskiej skupi się wszystko co Moskwa za narzędzie do krzewienia panslawizmu w Austrij użyć potrafi.

Swobody jakie uzyskuje Galicja, mianowanie ministra, rozszerzenie autonomij krajowej, uznanie praw, języka i narodowości, są zdaniem naszém aż nadto dostateczne do zapewnienia przyszłego rozwoju. Cieszylibyśmy się z nich, gdyby widmo wystawionych na prześladowanie Czech, radości tej nie truło. —

Z punktu widzenia przeszłości naszéj mogą te ustępstwa wydawać się jeszcze niedostatecznemi; w rzeczywistości rodzą obawę — abyśmy ich używając nie nadużywali. — Znając charakter narodowy i tradycje służące mu za podstawę, rodzi się troska o to czy podołamy tak swobodzie jakeśmy umieli wytrwać w ucisku.

Pole do działania w Galicij już dziś wielkie, szerokie, a samą szermierką polityczną wypełniać je marném by dziś było, gdy ogromne zadanie długo zaniedbanej pracy społecznej, organizacyjnej, życiodawczej na pierwszym planie stać powinno. — Ważniejszą dziś dla Galicij praca ta niż zużywające ją próżne walki o wyrazy, o definicje, o prawne i prawopolityczne zdobycze.

Oczy całej Polski zwracają się dziś na tę część kraju, jako jedyną, w której Polakom wolno jest być sobą i swobodnie się w duchu narodowym rozwijać. —

Z drugiej strony nie powinno ujść uwagi, że życie polityczne w Księstwie poznańskiem znacznie osłabło, a społeczność tutejszą opanował rodzaj znużenia, zniechęcenia i indyferentyzmu. Symptom ten z każdym dniem wybitniejszy wiąże się z wielą innemi, o których wolemy nie wspominać. —

Natomiast rosnącą widzimy gorliwość w Prusach zachodnich, które w ciszy ale skutecznie krzątają się dzielnie około zachowania i wzmocnienia ducha narodowego. —

Czynność czcigodnych obywateli Prus rozciąga się nietylko do ich własnej prowincij, sięga od niejakiego czasu na Szlązk, krzepi do koła siebie na kresach żywioły polskie. Towarzystwo interesów moralnych ludności polskiej nie rozgłośnie, bez chełpliwości, ale działa i rozrasta się . . . a choć o granicę Księztwa oparło się, niemogąc jej przekroczyć — mamy nadzieję że indyferentyzm zwyciężyć potrafi.

Zobojętnienie Wielkopolan niczemu innemu przypisać się nie daje tylko brakowi ludzi energiczniejszych, którzyby sprawę narodowości tak gorąco popierać chcieli jak popierają sprawę Kościoła. Codzienne straty ze starszego pokolenia, ubywanie tych których zastąpić nie ma komu, usuwanie się innych lękliwe pod naciskiem zwichniętej opinij nakazującej indyferentyzm jako cnotę — brak inicjatywy śmielszej z każdym dniem — smutnie się tu czuć dają. Wśród zastygnięcia ogólnego, ani Cieszkowski, ani Niegolewski, ani Libelt podnieść już głosu nie śmieją. Przykrym objawem niemocy i panicznego strachu jest nieudała wycieczka Wielkopolan do Krakowa, na którą jak się zdaje, nikt lub mało kto wybrał się z Poznania. Ubóstwo, którem dziennik tłumaczy tę abstynencją — jest chyba uznaniem, że poczucie narodowéj solidarności żyje już tylko w tych klassach, które są najbiedniejsze, a zagasło we wszystkich zamożniejszych. — Fakt to znaczenia pełen. —

W Warszawie tym czasem panslawizm krzewiony przez Moskwę rozpościera się manifestacyjnie i głośno.

Obejmując jednym rzutem oka Polskę całą, widziemy w Galicij przygotowania do życia nie rozpoczętego, w Poznańskiem przejednanie z obecnym stanem i uśpienie, w Prusach zachodnich na małą skalę czynność wielką, płodną i rozumną, w Królestwie i zabranych przez Rosją krajach bierny opór męczeństwu nielitośnemu — w emigracij prace pojedyńcze nie bez wagi, ale bez związku i dyrekcij. — Summa tego życia

tak różnobarwnego ująć się nie daje, zbawiennie mogłyby jedne części polskie oddziaływać na drugie, gdyby zupełny brak łączności, po części dobrowolny, nie stał na przeszkodzie. —

Wszystkie wiadomości z Rosij przekonywają iż system raz obrany unifikacij państwa przeprowadza się z zaciętością i zaślepieniem barbarzyńskiem. Też same środki, którymi posługiwano się na Litwie przeciwko katolicyzmowi, użyte są dziś w nadbaltyckich prowincjach. — Ostsee Z. przywodzi o nich szczegóły. Godną jest też wspomnienia odpowiedź na zażalenia Finlandij, którą z niczém odprawiono. W Głosie czytamy odezwę Ks. Biskupa Chełmskiego Kuziemskiego, który nakazuje poszukiwać rodzin z grecko-unickiego kościoła przeszłych na katolicyzm, w celu przywrócenia ich wschodniej Cerkwi, choćby od jak najdawniejszych czasów obrządek łaciński przyjęły!!

Wyborny list z Królestwa malujący stan obecny rosyjskich rządów w Polsce umieścił Czas z d. 2. Czerwca. Według korespondenta na przedstawienia Ks. Aleks. Hesskiego malującego mu straszliwy stan polskich prowincij, Cesarz miał odpowiedzieć, że jedynym środkiem — jest nie myśleć o tém. —

Wychodźcy rosyjscy w Genewie pomiędzy którymi poszukiwano Nieczajewa, a zamiast niego, aresztowano Serebrenikowa, zapowiadają proces policij szwajcarskiej, o naruszenie swobody osobistej. Sprawa obiecuje być ciekawą.

Warszawa zabawia się jak może, wystawą gobelinów p. Wład. Dąbskiego i mnogiemi teatrzykami. Jest ich tu tyle ile ich nigdy nie było ... W ogrodzie Figaro, w Alhambra (D. Lessera), w Tivoli, grają trzy trupy prowincjonalne polskie Modzelewskiego (16 osób), Stobińskiego (z Koła) i Russanowskiego (14 osób). — W Alkazarze i w Elisium trupy niemieckie, w Eldorado francuzka!! Oprócz tego teatr wielki, teatr rozmaitości i budujący się letni w saskim ogrodzie. — Do tego dodawszy koncerta i odczyty — przyznać trzeba że na rozrywkach nie zbywa ... ale za to chleba nie ma.

Napływowe żywioły, pasożyty żyjące na budżecie Królestwa, bawią się po teatrzykach — nędza głodem mrze na poddaszach ...

Kraj stanowczo oświadcza się przeciwko polityce, oddającej na łup Moskwie Czechy i widzi w niej daleko groźniejsze niebezpieczeństwo niż w opozycij przeciwko niemieckim hegemonom. Stronnictwa liberalne różnych odcieni zwołały się do Lwowa dla naradzenia nad możliwością wspólnego działania przeciwko ministerjalnym koncessjom. Agitacje przedwyborcze już się rozpoczynają.

Odcinek zajęty jest odczytami bar. Engeström'a, komedją: *Po Ślubie*, Kroniką Warszawską i nowemi wizerunkami fotograficznemi. (Hr. Ambassador).

Wystąpienia ulubionej artystki, której znakomity talent największym blaskiem zajaśniał w Krakowie (P. Modrzejewskiéj) — zajmują żywo wszystkich sceny lubowników. Znajdują oni, iż artystka wróciła z siłą nowo nabytą i znakomitszą niż kiedykolwiek była. Wystawa obrazów także jest przedmiotem sprawozdań wszystkich niemal dzienników.

Ostatni numer Kraju, który odbieramy w téj chwili przynosi nam opis przyjęcia w Krakowie Lwowian i Szlązaków. Zjazd ten wyłącznie ludowy uderza tém, że szlachta prawie na nim reprezentowaną być nie chciała. Z Wielkopolski nie było — nikogo. Wyjątkowo stare a zasłużone i czcigodne nazwisko Dieduszyckich świeciło samo jedno w hrabi Mieczysławie, który prześlicznym wierszem witał Szlązaków. Oto jedna jego strofa:

W murach Krakowskiego grodu —
Braci z ducha, braci z rodu,
Dziś witamy was!
Dotąd tylko w dniach ucisku,
W ciemnic grozie, w kajdan bolu
Albo w krwawém walki polu,
W dymie strzałów, w szablic błysku,
Gdzie niewoli pierzchał cień,
Gdzie wolności błyskał dzień,
Los sprowadzał nas...

Obszerniejszy opis przyjęcia musiemy odłożyć do następnego numeru.

Ostatni zeszyt Przeglądu polskiego w tych dniach się ukazał; kończy on rok czwarty zbioru tego pisma ...

O powieści, Marta Korwin nic powiedzieć nie możemy, bo nie jest skończona... Życiorys A. Z. Helcla przez Dębickiego, nie jest spodziewamy się, ostatniem słowem o zasłużonym mężu którego żywot obszerniejszej wymagał bijografij. Najlepszemi artykułami są „Cechy liberalizmu nad Newą i Sześć listów z Pesztu.“ Ostatnie szczególniej zajmujący kreślą obraz węgierskiej stolicy i społeczeństwa, i zdają sprawę z politycznych przekonań tu panujących. P. Koźmian przybył do Pesztu razem z mową ks. Czartoryskiego i mógł ocenić wrażenie jakie uczyniła. Z talentem a bez wymusu maluje Węgrów, widzianych oczyma polskiemi. Kilka ustępów godnych uwagi tém bardziej że je Przegląd drukuje:

„Potępiamy i wyrzekamy nieraz na wściekłość rewolucji, powiada autor, na zaślepienie, namiętność i okrucieństwo rozpasanego motłochu; a czyż historja nie dowodzi nam, że nieraz, że zbyt często despotyzm dochodzi do równego co motłoch stopnia wściekłości, zaślepienia i okrucieństwa? nie w tej ani w owej formie rządów szukać należy przyczyn owych zboczeń i szaleństw, ale w naturze ludzkiej, która skłonna do nadużyć, potrzebuje hamulca; a gdy tym hamulcem nie są instytucje, stają się nim zwykle klęski i nieszczęścia, które zarówno despotyzm jednego, jak wszechwładztwa motłochu sprowadzają.“ —

Jutrzenki wychodzącej w Kołomyi, mamy już drugi numer przed sobą. Niewymownie nas ona cieszy jako oznaka życia, budząca do myślenia, pracy, do — ładu. Wspomnieliśmy o zamiarze wydawania, choć numer pierwszy nas nie doszedł. Z drugiego najlepszą ciągniemy wróżbę, ale zarazem uczynim wydawcom tę uwagę, że zadaniem pism wychodzących na prowincji, jest przedewszystkiem życie prowincji odbijać. — Rzeczy ogólne znajdują czytelnicy w pismach większego rozmiaru, wychodzących w stolicach. Kołomyjski dziennik, aby żywo zajął i odpowiedział swej missji, musi Kołomyją, Rusią, krajem otaczającym przeważnie być wypełniony. I dla miejscowych i dla oddalonych nabierze przez to znaczenia i interesu.

Dziennik polski donosi o rozpoczynającym się ruchu przedwyborczym. Z ostatnich jego wiedeńskich wiadomości okazuje się, iż ministerjum „ugody ogólnej“ co do ustępstw dla Galicij mniej być miało szczodrem niż chciał Beust i zamierzała skrajna lewica rajchsrathu ...

Dziennik lwowski wskazuje także, iż prąd liberalny nieprzyjazny żywiołowi centralistycznemu, zdaje się w Wiedniu brać górę. —

Dowiadujemy się z D. L. o uorganizowaniu Towarzystwa Opieki Narodowej, wymowną odezwą powołującego kraj do wypłaty długu i spełnienia braterskich obowiązków względem ofiar 1863. Na czele spotykamy tu znowu czcigodne imie Alfreda Młockiego. —

Prawie współcześnie z Kościańską odbyła się wystawa w Przemyślu, z której sprawozdania posłużyć mogą za dowód jak w pracy organicznej, karności i ładzie, które potrzebne są we wszystkiem, Księztwo wyprzedziło Galicją. Nie będąc naocznymi świadkami, sądu o przemyślskiej wystawie dać nie możemy, ale z porównania głosów, które się o niej odzywają, widziemy — zasoby znaczne, siły pewne już wyrobione, życia wiele a przytém nieład, nieporadność, rozstrój ten sam jaki na politycznem polu się spotyka.

Dziennik poznański zajmuje się sprawą pisowni, wycieczki do Krakowa i protestem przeciwko niecnemu wystąpieniu dziennika le Droit... — Listy z Ameryki ... są ciekawe.

W Gazecie toruńskiej odbija się ten pracowity ruch, który Prusy ożywia. Znajdujemy w niej artykuły w sprawie przemysłu i o ochronkach, a w ogóle pilną uwagę, zwróconą na zadania żywotne chwili obecnej.

Gwiazdka cieszyńska donosi o przygotowaniach wycieczki do Krakowa Szlązaków austryjackich i pruskich (z górnego Szlązka) — o szkółkach i postępach jedwabnictwa. —

W Rzeczpospolitej polskiej wychodzącéj w Genewie, (organie federacyjno-demokratyczno-socjalnym) mieści się wezwanie do Galicij i wskazanie jej dzisiejszych okowiązków. Autor tego artykułu przy najlepszych chęciach łudzi się sądząc iż możliwem jest Galicij łączyć się zarazem ze Słowianami i jak najlepiej być z Węgrami. — Odsyłamy go do ciekawych listów Peszteńskich w Przeglądzie polskim.

Zarzuca nam Rzeczpospolita, żeśmy ubolewali nad publikacją listu Mickiewicza przeciwko Czartoryskim, z czasów wojny Krymskiej.

Szanujemy prawa historji i nicbyśmy nie mieli przeciw

temu ogłoszeniu, gdyby list oddawna znanym nie był. Powtórzenie tylko znaleźliśmy boleśnem wspomnieniem, przynajmniej zbytecznėm. —

Przy ostatnim numerze Orła polskiego, wychodzącego w Washingtonie, dołączono karteczkę, wzywającą wszystkich Polaków o podawanie imion swych i nazwisk . . . Orzeł mieści korespondencją lwowską, która nam nową, nieznaną znakomitość na horyzoncie nadpełtwiańskim zwiastuje. — Czy by to miało także zwiastować jej przesiedlenie się do Ameryki?? *

Polska poniosła stratę wielką — jeden z wiernych synów jej, pracowników i męczenników, którego imie ze czcią wspominał każdy — Adolf Łączyński zmarł w Poznaniu dnia 2. Czerwca . . . Podobało się Bogu w tych czasach, gdy serc nam braknie, gdy braknie dłoni, gdy wszystko zastyga, gdy odpadają nam bojaźliwi i słabi — odebrać człowieka, który świecił charakterem, zasługą, przykładem, niezłomną wiernością ojczyźnie — usque ad finem. Strata to nad wszelki wyraz bolesna: niepowetowana . . . Oczekujemy szczegółowego rysu tego pięknego żywota.

D. 3. Czerwca zgasł także w Poznaniu po nader bolesnych cierpieniach Dr. Michał Nieszczota, niegdy wychowaniec Karola Marcinkowskiego, człek zacny i zasłużony.

Ostatnich dni Maja, zmarł w Paryżu, JMksiądz hrabia Fredro, wikarjusz przy kościele Ś. Filippa de Roule, mając wieku lat 45. — Był on synem hr. Fredry, który służył w legji polskiéj Napoleona I., jako adjutant ks. Józefa Poniatowskiego, z hrabianki Gołowin urodzonym. Hr. Gołowin matka słynęła z dowcipu i talentów swych, a gościnnością dla emigrantów francuzkich. Zostawszy katoliczką, wydała jedną z córek za hr. Fredrę, drugą za L. Potockiego.

Ks. Fredro był wykształconym i światłym duchownym. Jeśli się nie mylemy, bratem być musiał znanego rysownika i illustratora, a niegdyś urzędnika kancellarji Królestwa, przy ministrze Turkulle.

Dnia 8. Czerwca, o godzinie 1. po południu, zmarł w Krakowie, znany z wielu prac literackich, współpracownik Kraju, Jan Kanty Turski. Wiadomość o jego życiu, podamy według przyrzeczonej w tém piśmie bijografji.

W Warszawie zmarł współcześnie prof. Juljan Biedrzycki, który wydał parę książek i poezij.

Dnia 3. Czerwca w przejeździe przez Warszawę, zmarła, nagłą słabością dotknięta w wieku lat 58, pani Zofja z Chłopickich Klimańska, znana pod imieniem Zofji z Brzozówki, jako utalentowana autorka. Przed laty dwudziestu kilku, artykuły Zofji z Brzozówki umieszczane w pismach zbiorowych, zwracały uwagę powszechną, wielką śmiałością i oryginalnością poglądów. Pisała bardzo wiele, drukowała także, ale najwięcéj pism jej pozostać miały niewydane. Dnia 7. Czerwca, miał się odbyć pogrzeb.

W Wilnie zmarł dnia 21. Maja, b. prof. akademji medycznej, Józef Korzeniowski, znany jako operator, lekarz i nauczyciel zdolny. Towarzystwo lekarskie wileńskie, oddało mu ostatnią posługę.

* Tą gwiazdą jest??... p. J. Osiecki. —

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XXII.

Rzym, 2. Czerwca.

(γη̃.) Uraczeni periodycznėm ołobockiém kazaniem, przyjmowaliśmy je w milczeniu i cierpliwie, jak się zwykło niektóre zbyt okwite wielkopostne improwizacje przyjmować, dziękując owszem z głębi serca kaznodziei za jego dobre chęci, — bośmy nigdy nie grzeszyli zarozumiałością i chętnie się uznajemy niższemi od każdego, który nam nauki dawać raczy, — gdybyśmy nie byli zmuszeni dla własnej obrony do przedłużenia — wbrew woli i skłonności tej oryginalnej polemiki, jednej z najosobliwszych, jakie się nam zdarzały. Mamy bowiem do czynienia z krytykiem, który nas zrozumieć nie chce i wstrzymując się od dokładnego przytoczenia naszych wyrazów — co jest warunkiem wszelkiej ścisłej polemiki, — kładzie nam ustawicznie w usta rzeczy, o którycheśmy nie pomyśleli nawet, i zbija zdania, które nie są naszemi. Wobec takiego przeobrażania naszych wyrazów i myśli mogącego dać najfałszywsze pojęcie o listach soborowych tym, którzy ich od początku nie czytali, nie pozostaje nam, jak tylko prosić naszego krytyka, ady nadal niezapomniał okularów, kiedy nas czyta, tak jak je zapominał dotąd. Zarzuca nam n. p. żeśmy chcieli upośledzić wikarjuszów apostolskich dla tego, żeśmy przypomnieli, iż w barbarzyńskich krajach apostołują i licznych owieczek nie mają; wynosi i sławi ich poświęcenie się, naukę, zdolności, których nie podawaliśmy nigdy w wątpliwość. Tym czasem chodzi tu o kwestję godności i juryzdykcji bynajmniej nie przez nas wymyśloną. Temi dniami jeszcze kardynał Schwarzenberg dowodził, że wotum biskupów mających *curam animarum* nierównie więcej znaczy od głosu biskupów *in partibus* obdarzonych jedynie pasterską godnością, ale niemających zgoła owieczek lub mających nieznaczącą ich ilość. Owszem jest to jeden z wielkich argumentów opozycji odnośnie do głosowania. Jakże ołobocki krytyk od razu tego nie zrozumiał, jak nadewszystko może wręcz twierdzić, jakobyśmy utrzymywali „iż biskupi ci żyjąc w Rzymie kosztem papiezkim, za to dobrodziejstwo popierają udogmatyzowanie nieomylności?“ „Przypisywać takie tendencje Ojcu Świętemu, prawi dalej, podawać w podobny sposób cześć tych biskupów w podejrzenie, — mogą tylko zła wiara i uporczywa zaciekłość.“ Owoż nie śniło się nam nigdy nawet, że biskupi orzekają Papieża nieomylnym za to, że ich karmi. „Zła wiara i uporczywa zaciekłość“ nie mogą nam być tedy dowiedzionemi, tak jak brak okularów szanownemu krytykowi. Dalej powiada on, że nie nauka i mądrość prowadzą łódź Piotrową, ale Duch Boży, i że nauka, wymowa i intelligencja nie są najważniejszém i najgłówniejszém Soboru powszechnego ogniskiem, zkąd wypływa wniosek, że Sobór mógłby się obejść bez nauki, wymowy i intelligencji. Odpowiemy na to, że Duch Pański może zapewne największe cuda czynić, jak tego mieliśmy przykład na oślicy Balaama; ale za dni naszych cuda się już jakoś takie nawet w ołobockim nie powtarzają dekanacie. Światło Boże przychodzi w pomoc przyrodzonemu światłu, ale go całkiem nie zastępuje. Inaczej Sobór byłby czysto materjalném narzędziem Ducha Świętego, nie powiemy oślicą Balaama, albowiem to porównanie wprost wypływające z rozumowania ołobockiego krytyka i cisnące się nam pod pioro odrzucamy jako nie tchnące należytém uszanowaniem, ale byłby owem kolosem Memnona na egipskich piaskach, co śpiewał niby pod słonecznym promieniem. Następnie krytyk twierdzi, że „to jest faktem niezaprzeczonym, że ani jeden z biskupów nie wystąpił przeciwko prawdzie nawet *implicite* w objawieniu i tradycji się mieszczącej.“ Zapewne przez tę prawdę rozumie osobistą i oddzielną nieomylność papiezką, albowiem nigdy nie wspominaliśmy o przeciwieństwie biskupów w innych zasadniczych kwestjach. Owoż jak dobrze uwiadomianym jest ołobocki korespondent o tém, co się dzieje na Soborze, dowodzą tego codziennie w tej chwili mowy wielu Ojców z opozycji wymierzone nie przeciwko wczesności lub niewczesności udogmatyzowania, ale przeciwko samej „prawdzie“ pojętej w sposób, w jaki ją chcą orzec, dowodzi tego wykrzyknik biskupa z Savannah wśród Soboru, o którém wspomniemy niżej. Nakoniec krytyk nasz pisze o nas: „Korespondent poświęciłby gotów dla dobra zjednoczonych Włoch doczesną władzę Ojca Świętego. Nie spełnią się jego życzenia (!!!)..... Dziwi nas mocno, że Polak, co opłakując utratę niepodległości i rozbiór Polski piętnuje z całém prawém mianem zbrodni niesłychanej i z Abrahamową tęsknotą pragnie z tułactwa wejść do ziemi obiecanej, zdaje się w sumieniu pochwalać zbrodnię tak ciężką a wszystkie katolickie krzywdzącą narody.“ Widziemy tu jasno, iż krytyk bierze to, co mu zdaje się za to, co jest w istocie. Jednak czytelnicy raczą sobie przypomnieć, żeśmy wbrew szczeremu naszemu uwielbieniu i miłości dla kapłanów naszych tułaczy odważyli się zganić ich adres do ks. Sosnowskiego, a uczyniliśmy to li tylko z powodu, że się ten adres przeciwko zasadzie świeckiej władzy Stolicy Świętej oświadczał! Nie, stokroć nie! nie godzi się potępiać kogoś za to, czego nie powiedział. Taki zarzut moglibyśmy nazwać nieoględnym, potwarczym, ale ponieważ o zacności ołobockiego krytyka nie wątpiliśmy nigdy, chętnie wszystko składamy na owo chwilowe zapomnienie okularów. Nigdy dla dobra zjednoczonych Włoch nie chcieliśmy poświęcić doczesnej władzy Stolicy Świętej. Owszem pragnęliśmy zawsze i pragniemy, by wielki i rozumny naród włoski uwzględniając wyjątkowe swe posłannictwo, zostawił na kwitnących obszarach swej ojczyzny miejsce dla ukoronowanej niepodległości Ojca wszystkich wiernych. Jeżeli obecny rząd papiezki nieod-

powiada wymaganiom narodu, to nie ma dla tego potrzeby obalania ziemskiego tronu Ojca Św. Wszak Pius IX zmienił swój rządw 1847 r. a jeśli nie on tedy jego zastępca uczynić to jeszcze potrafi. Ale śmiesznością jest w naszych oczach przyrównywać odpadnięcie Umbryi, Marchji i Romanji od Rzymu do rozbioru Polski! Myśmy ulegli przemocy obcych niegodziwych najeźdźców, którzy nam wiarę, język, narodowość niecnie wydzierają. Konfederacja barska i skrwawione przez Suwarowa nurty Wisły pierwszy nasz protest zapisały, a odtąd rok w rok niemal przedłużamy to krwawe pismo na wszystkich lądach i wyspach, i cała prawie kula ziemska stała się już jedną księgą krwawemi temi ślady zapisaną..... W Romanji, Marchji i Umbryi naróżnobyś szukał cudzoziemskiego najeźdzcy; kościoły katolickie stoją otworem, narodowy język brzmi wszędzie, drukują się nawet dzienniki takie jak Unità cattolica codziennie rząd obrzucając błotem, a lud, który żołnierza włoskiego za brata uznaje, widzi najeźdźców..... w kim? oto w Żuawach i różnonarodowém wojsku Ojca Świętego! Bywały republikańskie ruchy, ale od kiedy Umbrya, Marchja i Romanja odpadły od Rzymu, nie widziano tam nigdy żadnej powstańczej bandy, występującej w obronie dawnego rządu. To są fakta. Jednak rozumowanie ołobockiego korespondenta dowodzi nam jak dalece ultramontanizm Polaka nawet zaślepić może i jak niebezpiecznym jest przeto nieprzyjacielem, kiedy może nas popchnęć do porównania świętej sprawy narodu naszego ze sprawą obcego rządu.

Wiecznie krytyk zarzuca nam, że sprawozdania nasze soborowe są żywcem wzięte z gazet Kościołowi nieprzychylnych. Niewiem czy Redakcja Tygodnia zgodziłaby się na korespondencją nie oryginalną, lecz z gazet przerabianą. W takim razie nie udając się do Rzymu, mogłaby wypisać sobie poprostu korespondencją rzymską z ołobockiego dekanatu. Nadto krytyk zdaje się niewiedzieć o tém, że gazety nieprzychylne Kościołowi są zakazane w Rzymu i że niemoglibyśmy przerabiać tego, czego nie ma. Co zaś do wierności i dokładności naszych sprawozdań, nie będziemy zapewne żądali z dekanatu ołobockiego świadectwa w tym względzie!

Dnia 24. Maja kongregacją jeneralną Soboru otworzyło nabożeństwo ks. Yusto, arcybiskupa z Burgosu; potém zaś przemawiali kolejno: ks. Couseau, biskup z Angouleme; ks. de Preux, bisk. z Sion; ks. Caixal y Estrade, biskup z Urgel; ks. Salas, biskup z Santissima Conception w Chili i ks. Rote, biskup z Guastalli. Wszyscy ci mówcy prawie odzywali się w obronie dogmatycznego orzeczenia.

Dnia 25. Maja nabożeństwo o Duchu Świętym odprawił ks. Blanchet, arcybiskup z Oregon-City, a po niem wstępowali na mownicę: ks. Manning, arcybiskup z Westminsteru; ks. Clifford, biskup z Clifton; biskup z Baja i jeden jeszcze pasterz irlandzki.

Ks. Manning znany przywódzca infalibilistów z ks. Dechamps i z ks. Spadlingiem, miał ognistą mowę w obronie nieomylności. — Stronnictwo jego mowę tę za arcydzieło uważa. Ks. Clifford odpowiedział swemu rodakowi, zbijając jeden po drugim wszystkie jego dowody i twierdzenia. Wymowny Anglik zarzucił mu przytém rozmyślne ukrywanie i wypaczanie prawdy, a wyznawanie jej wtedy tylko, kiedy jestto mu na rękę.

Biskup Bai bronił żarliwie nieomylności; ganił tych, którzy opłakują nieobecność protestantów i odszczepieńcow na Soborze; rzekł, iż miejca tam niemasz ani dla jednych ani dla drugich, tak jak go niemasz zgoła dla złych katolików, dla katolików liberalnych. Odpowiadając kardynałowi Schwarzembergowi, dotknął właśnie przedmiotu, który tak leży na sercu ołobockiemu dekanatowi i dowodził, że wikarjusze apostolscy, dzięki swej mądrości, poświęceniu się bez granic, zaparciu się wszech rzeczy doczesnych, świętszymi i godniejszymi są ludźmi od wielu europejskich biskupów, i że przeto ich głos tyle waży ile głos pasterzy nie wystawianych na te same ofiary, opływających w ziemskie dostatki i rozkosze..... Widzi tedy szanowny dekanat ołobocki, że nie ja spór ten wymyśliłem lub z gazet pożyczyłem.

Dnia 26. Maja nie było kongregacji z powodu święta Wniebowstąpienia Pańskiego. Dnia tego Ojciec Święty udzielił uroczyste błogosławieństwo z krużganku bazyliki św. Jana Lateraneńskiego. Przed samém błogosławieństwem dostał on silnych mdłości, a gdy wrócił do siebie, chciał się wstrzymać od tej ceremonji i uległ dopiero silnym prośbom kardynała Antonellego, który mu przedstawił wzburzenie i popłoch, jakieby niespodziana nieobecność jego wzniecila wśród niezliczonego tłumu, czekającego na placu. Zebrawszy tedy wszystkie siły swoje Pius IX, pobłogosławił lud, ale wróciwszy pośród dworzan swoich, uderzył w rzewny płacz i rzekł: że czuje, iż po raz ostatni daje to uroczyste błogosławieństwo..... Oby te smutne przeczucia najdostojnego Starca, będące zapewne skutkiem nerwowego wstrząśnienia, nie ziściły się wcale, a Bóg jak najdłużej zachować go raczył! Powiadają, że oprócz znużenia, długiej ceremonji i upału, wpłynęła na zdrowie papieża ostatnia mowa ks. Simora, prymasa węgierskiego, który rzekł wśród Soboru, iż nigdy nie podda się dogmatowi, który sumienie jego oburza, a przeciw któremu ze wszystkich sił protestuje.

Czy to o tej zdumiewającej jednomyślności wspomina nasz krytyk?

Jednak nazajutrz Papież uczuł się zdrowszym i udał się w wielkiej paradzie do kościoła *Santa Maria in Valicella*, gdzie obchodzono uroczystość św. Filipa Nerjusza, patrona Rzymu.

Dnia 28. Maja kongregacja soborowa rozpoczęła się nabożeństwem ks. Guibert, arcybiskupa z Tours. Z mowców tego dnia wymieniemy ks. Bravard, biskupa z Contances; ks. de Sénestrey, biskupa z Ratizbony i ks. Vérot, biskupa z Savannah w Zjednoczonych Stanach.

Ks. Sénestrey w uczonej i głębokiej mowie przedstawił opinją większości o nieomylności papiezkiej i dodał, że opinja ta jest jego osobistem przekonaniem. Ks. Vérot, najznakomitszy mowca duchowny Nowego Świata, powiedział przeciwko udogmatyzowaniu jednę z najwymowniejszych, ale zarazem z najognistszych rzeczy, jakie dotychczas miano na Soborze. Dzwonek kardynała prezesa po trzykroć mowę tę przerywał i wzywał mówcę do porządku. Nie zważając na to ks. Vérot, nie wahał się zawołać: „Wielebni bracia! ci z was, którzy głosować będą za dogmatem nieomylności, popełnią świętokradztwo!...“ Na te słowa oprócz gwałtownego dzwonienia legata odpowiedział taki zgiełk w rzędach większości, iż przypomniała się żywcem owa pamiętna scena, kiedy biskup dyakowarski stał z założonemi rękoma na mownicy, jak skała wśród rozhukanego morza. Biskup z Savannah zniósł także te protestacje nieustraszoném czołem, a potém rzekł chłodno i stanowczo: „Jestto moje osobiste przekonanie, a wolność, jaka powinna panować na Soborze, daje mi prawo wyrażać je publicznie. Jako syn wielkiej i wolnej ojczyzny, największej rzeczypospolitej Nowego Świata, chcę używać na Soborze wolności, jakiej w mej ojczyznie używam i nie dam głosu mego sumienia stłumić żadnemi krzykami!“

Dnia 30. Maja słuchali mszy ks. Eyre, arcybiskupa z Anazarby; potém zaś występowali kolejno z mowami ks. Spalding, arcybiskup z Baltimory, Papszilagyi, arcybiskup z Waradynu; ks. Le Breton, biskup z Le Puy; ks. Gastaldi, biskup z Saluzzo; ks. Lenti, biskup z Sutri i Nepi; ks. de Las Cases, biskup z Konstantyny w Afryce; ks. Lachat, kiskup z Bazylei; ks. Magnin, biskup z Annecy i ks. Efrem, biskup z Nemezis.

Ks. Spalding przemawiał w imieniu deputacji dogmatu i bronił gorąco udogmatyzowania w pięknej i udatnej mowie; ks. Papszilagyi zaś nader ostro przeciw udogmatyzowaniu wystąpił, ale najostrzej ks. de Las Cases. Inni zaś, z wyjątkiem jednego czy dwóch, za udogmatyzowaniem przemawiali.

Dnia 31. Maja otworzyło kongregację nabożeństwo ks. Puch y Solona, arcybiskupa z La Platy. Następnie ks. Fessler, sekretarz Soboru udzielił Ojcom żądanie trzech biskupów, proszących zgromadzenia, aby im wolno było wrócić do dyecezji i uczynił wniosek o dyspensę dla biskupa z Alton w Zjednocząnych Stanach, niemogącego wcale brać udziału w Soborze. Dalej głos zabierali: ks. Schäpmann, arcybiskup z Utrechtu, przemawiający w imieniu deputacjt dogmatu; Valerga, patryarcha jerozolimski; ks. Claret, arcybiskup trajanopolitański, dawny spowiednik królowej Izabelli hiszpańskiej, ks. Purcell, arcybiskup z Cincinnati i ks. Connoly, arcybiskup z Halifaxu.

O mowach tych bliższych dotąd nie mamy wiadomości. Na tejże kongregacji kardynał Do Angelis oznajmił Ojcom zgon ks. Odin, arcybiskupa z Nowego Orleanu, urodzonego we Francji w r. 1801.

Dnia wczorajszego nie było posiedzenia z powodu żałobnego obchodu za duszę Grzegorza XVI., którego rocznicę zgonu obchodzono. Dziś zaś Sobór zebrał się znowu; ale o dzisiejszém posiedzeniu nic dotąd nie wiemy.

Deputacja dogmatu przygotowuje schemat tyczący się praw i obowiązków biskupów.

Taż deputacja na nadzwyczajnej naradzie odbytej przy końcu upłynionego tygodnia postanowiła nie czynić wcale mniejszości soborowej ustępstw z początku zamierzanych i nie zmieniać wcale schematu o nieomylności, ażeby go nie osłabiać. Wszyscy 24 członkowie deputacji dali sobie słowo, że całości i nienaruszalności schematu będą bronić aż do upadłego.

Zkądinąd opozycja wzmaga się zamiast ustawać; żywi nawet dotychczas pewną nadzieię zwycięztwa, co zdaje się nam dość parado-

ksalném mniemaniem, po ludzku rzeczy sądząc. Wprawdzie pamiętamy o tém — i bez naszych krytyków — że po nad Soborem unosi się Gołąbka Boża. — Przy końcu upłynionego tygodnia było przeszło 60 mowców zapisanych, by o niemylności przemawiać. Słychać przytém o zbiorowej nocie, którą dyplomacja podać ma jako *ultimatum* w przedmiocie dogmatycznego orzeczenia. Nota takowa zapewne postanowień Soboru nie zmieni, ale mogłaby wiele ściągnąć kłopotu i nieprzyjemności. W obec takiej sytuacji większość lękając się nieograniczonéj zwłoki udogmatyzowania wystosowała do kardynałów legatów prośbę o zamknięcie dyskusji stosownie do regulaminu, który każe przechodzić do głosowania, skoro dziewięciu Ojców o zamknięcie rozprawy prosi. Legaci pospieszyli tę prośbę Papieżowi udzielić; ale Ojciec Święty nie chciał jej uwzględnić i zażądał, by owych dziesięciu cofnęło wniosek.

Wszelako na początku bieżącego tygodnia zapisanych mowców było przeszło 80; przytém wiele świąt w ciągu Czerwca przypada, a mocarstwa coraz groźniejszą przybierają postawę. Większość zebrała się więc powtórnie dnia 30. Maja w wieczór i radziła co tu robić. Umyślano ponowić prośbę o zamknięcie dyskusji; ale i tą razą skutek, jak się zdaje nie odpowiedział nadziejom, albowiem dziś zaczynają już mówić, że posiedzenie publiczne dla ogłoszenia nowego dogmatu nie może żadną miarą nastąpić na uroczystość ŚŚ. Piotra i Pawła, i że wypadnie je może odłożyć aż do Wniebowzięcia.

Sobór nie będzie wcale zawieszonym, jak to mylnie rozgłaszano. Wielu wprawdzie biskupów wyjeżdża za urlopem; są to niemal wyłącznie stronnicy dogmatycznego orzeczenia. Zostawiają oni wyjeżdżając kolegów upoważnionych do głosowania w ich imieniu. Wyjazd ten nie jest przeto wcale protestacją, jak wszystkie niemal utrzymują dzienniki. Mniejszość soborowa trzyma się owszém spoisto i silnie i zamierza bądź co bądź wytrwać na stanowisku. Bogatsi biskupi najmują wille w okolicach Rzymu; ubożsi zamieszkują w pałacach letnich papiezkich w Castelgandolfo i w Porto d'Anzio. Papież rzekł, że jeśli dwudziestu tylko biskupów zostanie w Rzymie, pragnie on, aby Sobór postępował swoim trybem.

W łożysku tybrowém znaleziono sporą wiązkę papierów, odnośnych do Soboru. Fakt ten z początku zaprzeczany, dziś nie ulega wątpliwości. Mówią, że je wrzucił do rzeki wyjeżdżając za urlopem z Rzymu ks. Le Courtier, biskup z Montpellier, rozżalony przeciwko regulaminowi i legatom. Był to zbiór wszystkich schematów.

Kongregacja ustanowiona przez Ojca Świętego dla spraw polskich liczy w sobie wielu członków z kongregacji spraw duchownych nadzwyczajnych. Należy też do niej O. Franzelin, jezuita sekretarz deputacji dogmatu. Jednak zapewniają, że kongregacja ta nie daje już więcej znaku życia. Są tacy, którym wiele zależało na tém, aby one sparaliżować.

Berlin, 6. Czerwca.

Jak już wspomniałem „jedność“ niemiecka w rzeczywistości nam się dość jaskrawo przedstawia i w dalekiej zapewne jeszcze jest przyszłości, jeżeli wogóle kiedy do tego przyjdzie. — Zbyt rozmaite widać dążności w Niemczech, które nie tak prędko i łatwo zatrzeć się dadzą, a o ile siła i przemoc to zdoła, to przyszłość wykaże. Nie szczególny zaiste widok tej „jedności“ Germanji przedstawił nam był ten, jakoby związek przyszłej „jedności,“ parlament celny, gdzie pośród mało zajmujących i ckliwych słodyczy syropu i cukru, czasami więcej zajmujący okazał się epizod, jaskrawe rzucający światło na gorzką rzeczywistość... „jedność“ Germanji!!... Później w północno-niemieckim rejchstagu walczyły przeciwko sobie national-liberały, fortszrytsmenerzy, separatyści, ultra- i wolno-konserwatyści, Laskerzy, Dunkerzy i t. d. często z zajadłością, w obec którego to rozstrzelenia, my wcale nie ośmielamy się podnieść tego, co to za „jedność“ niemiecka... a cóż dopiero korzystać z tego... podczas gdy w obec najmniejszego z naszej strony pozoru, nawet jakiejkolwiek poważnej dyskusji (nie mam tu naturalnie Galicji na myśli), już organa niemieckie wołają: „otóż to polska niezgoda!“ i trzeba przyznać, taką „taktyką fałszywych alarmów“ często nas już organa niemieckie w pole wywiodły i nam zaszkodziły. Tak n. p. było też co do sprawy posła p. Jackowskiego, i listu jego do redakcji „Przyjaciela Ludu“, który był więcej prywatnej natury i nie był właściwie do publikacji wcale przeznaczonym, a o jakiejś „niezgodzie“ w tych kwestjach, jak to niektóre organa niemieckie zaraz (jak na komendę!) przedstawiły i wyzyskać chciały, tak, że i z nas nawet niektórzy uwierzyli, nie mogło być ani mowy. Tym więcej podnieść to muszę w obec nadchodzących wyborów, że żadne z pism naszych jeszcze sprostowania tego nie podało, ale wszystkie list ów powtórzyły i publiczność jest jeszcze tego mniemania, że tak jest rzeczywiście. — To też ku podziwieniu nawet samego p. Bismarcka, wszyscy nasi posłowie się do ostatniego głosowania co do kary śmierci i t. d. stawili, z wyjątkiem p. Niegolewskiego, który jest wprawdzie za wybieraniem posłów, ale przeciwny wysyłaniu ich na sejm. Zbyteczném zdaje się dziś rozbierać jeszcze to zdanie, czy niebranie udziału w sejmach jest w obecnych naszych warunkach dobrem albo nie, w obec tego faktu, że kraj cały, wszystkie jego organa wyraźnie się zatem oświadczyły. — Chciałbym tylko zasadniczą przypomnieć tu regułę życia parlamentarnego, ze mniejszość z swem zdaniem zawsze się poddaje większości. Bez trzymania się tej zasady, kto wie do czego przyjść może i jeżeli kto, my Polacy dziś zawsze i wszędzie surowo tego przestrzegać winniśmy tak w Poznańskim i Prusiech Zachodnich, jak i w Galicji. — Dopóki decyzya nie nastąpi walczyć za swojem zdaniem, skoro jednak nastąpi wraz z większością postępować... nie wyłamywać się z szeregów. O ważności tego, każdy jest niezawodnie dostatecznie przekonanym, nie potrzeba się nad tem obszerniej rozpisywać.

Mówiłem już o tem kilkakrotnie w mych korrespondencjach — ażebyśmy znów się starali wybrać reprezentację, któraby straconą przez czas niejakiś dawną świetność naszą sejmową, znaczenie nawet wielkie w izbach pruskich przywrócić zdołała, wspominały o tém i inne pisma, a mianowicie „Dziennik Poznański“ bardzo dobitnie w tych kwestjach przemawiał, jak rzadko i chyba we Lwowie by to dobitniej może się stało, ale czy na korzyść sprawy? to inna kwestja, którą pozostawmy, dość, że „Dzien. Pozn.“ trafnie bardzo wykazywał i potrzebnie, że do poselstwa nie wystarczają tylko zasługi, znaczenie w powiecie i t. d., mimo to uwagi jego co do powiatowszczyzny i powag powiatowych przebrzmiały widać w niektórych powiatach całkiem niepostrzeżenie. Wobec ważności sprawy uważam za obowiązek według informacji z najlepszego pochodzących źródła, zwrócić uwagę n. p. na wybory w powiecie lubawskim w Prusach Zachodnich. Z niektórych innych miejsc równe dochodzą wiadomości. Czy nie byłby czas i obowiązek o tem pomyśleć i starać się potrzebom naszym tylekroć wypowiedzianym zaradzić?! — Gdzieindziej poddanoby słusznej krytyce dotychczasowe działalności posłów naszych, postawionoby nowych kandydatów, i t. d. Nie potrzebaby tego zrobić w sposób jak się to dzieje n. p. w Galicji, gwałtowny i namiętny, ale zdaje się obowiązkiem świętym nad tém się sumiennie zastanowić, tego nie zaniedbać!

Chciałbym jeszcze kilka wiadomości z świata polskiego w Berlinie wam przesłać, który krząta się i żyje, widać nawet pracę sumienną i wytrwałą, jak wam przynajmniej ogólnikowo donieść dziś mogę, szczegóły niektóre zostawiam do następnego listu.

Z Galicji, 20. Maja.

II.

W poprzednim liście (Tydzień Nr. 20) powiedziałem: jak długo wolno, potrzeba nam mieć wiarę w ministerstwo Potockiego. Spojrzyjmy teraz jakie niebezpieczeństwo i zkąd grozi temu ministerstwu. Biurokracja jak sprowadziła na Austrją wszystkie dzisiejsze nieszczęścia, tak i dzisiaj jest zawsze czéms najniebezpieczniejszém. Innéj tylko natury jest obecnie to niebezpieczeństwo. Leży ono nie w samej biurokracji, lecz w tym wpływie jakie ta zostawiła po sobie. Całe pokolenie, dziś działające w Austrji, jest wychowankiem biurokratyzmu i — nie może być inaczej — przesiękło się duchem i charakterem biurokracji właściwym. Wychowanek jest podobny do mentora. Brzydzi się on złém i wadami w mentorze spostrzeganemi — sam jednak, bez wiedzy i woli, brodzi w jedném i drugiém przez nawyknienie. Nawyknienie stało się drugą naturą. Łatwiej złe widzieć, niż samemu wydrzeć się z jego więzów.

Charakterystyką biurokracji było: trzymać się ślepo i niewolniczo form — nigdy rzeczywistych wymagań. Naginać potrzeby narodu, naginać sam naród do praw — nigdy prawa do potrzeb narodu. Podnosić drobnostki do wagi wielkich rzeczy a istotnie wielkie traktować jak śmieszne drobnostki. Biurokracja była wiecznie czynną, wiecznie zaaferowaną — owocu tej pracy zbyt mało. Przeciwnie, czy z umysłu, czy dla zbyt drobnostkowych i wyjątkowych praw, umiała każdą sprawę, zajmując się nią długi czas, ostatecznie — zostawić w zawieszeniu. Ztąd wiecznie mnóstwo czynności; czém okazywała się rządowi i narodom, że jest koniecznie potrzebną, że bez niej przepadłby rząd i państwo i naród. Była to kasta pasożytnie pedanty-

czna; w pedantyzmie pyszna, nadęta a w cyniczném naigrawaniu z praw natury i ludzkości, z praw światła i serca uszczypliwą w złośliwéj dokuczliwości.

W roku 1848 legła biurokracja, rozpoczęły się ruchy narodowe. Czy w tych ruchach narodowych niedopatrujemy jednak kubek w kubek tę samą charakterystykę, jaką wskroś przejętą była biurokracja? Formy panują i tu. Formy te są wprawdzie innej natury ale panują zawsze tak despotycznie, tak absolutnie i bezwzględnie, że nie naginane są do potrzeb narodu, lecz właśnie potrzeby narodu naginane są do tych form. Ruch nie szuka wręcz i prosto pomyślności narodu, istotnego ulepszenia, lecz zadowolenia form. Ten sam pedatyzm, ta sama bezmyślność! To samo nie szukanie celu, lecz uganianie się za środkami, które nie prowadzą do żadnego celu, które kończą się w załatwieniu środków nieukończonych. Co nie ma celu, to nie może być ukończone. Ztąd ten ogromny ruch zbyt maluczkiego życia potitycznego. Wszystko poruszone, nic nie załatwione. Poruszone a niezałatwione rzeczy wywołały nowe potrzeby. Nezliczona masa spraw do załatwienia. Wszystko jest zajęte tym załatwieniem. Każda sprawa jest niezmiernie ważna. Kady nią zaaferowany niezmiernie ważny. Ogromny ruch! Gdzie cel ruchu, gdzie jego owoce... Każdy niech sam sobie odpowie.

Z górą dwadzieścia lat tego ruchu narodowego. Przecież ślad jakiś tego życia, jakieś ulepszenie powinno się już okazać. Prawda, rozwój narodu, to powolne dzieło. — Dziesiątek lat, to ledwo chwil kilka. Lecz i chwila powinna dać, jeśli nie ślad wybitny, to jego skinienie, lekki przynajmniej zarys tego skinienia. Czy biljardy namnożonych długów, czy zwaśnione pomiędzy sobą narody, czy ogólne niezadowolenie, czy Sadowa jest tym zarysem skinienia? Ruch, wychowanek biurokracji, następca biurokratyzmu, pomijał ważne cele, używał ich za środki dla drobnostek, nie pytał nigdy: co jest istotną potrzebą, rękojmią pomyślności — maluczkie cele, że łatwiejsze do hałasowania, były mu najważniejsze... Musiał też stworzyć, a właściwie nie mógł podnieść państwo do tego wysokiego stanowiska, by biurokracja, jeszcze dysząca, nie sprowadziła te następstwa.

Czy w tym wieku nie przebija się równie jako w biurokratyzmie pewien sarkazm, pewien cynizm? Kto nie dopatruje go u centrałów niemieckich? Nie wiem dla czego, ale demagog uliczny, liberał kawiarniany, wielki człowiek miasteczka małego, albo liberaliści głośni w parafii, w powiecie lub ci przybyli z miast na wsie, przypominają mi zbyt często biurokratę najczystszej krwi. Ta sama nadęta, pedantyczna zarozumiałość, to samo lekceważenie dobra, pomyślności, nawet przyszłości narodu. Dla idei chcą wszystko poświęcić, — nie pytając jaką jest ta ich idea. Tamci w imieniu prawa byli satrapami — ci w imieniu wolności, pod hasłem dobra narodu chcą być jego despotemi, ciemiężycielami. Prawda, są to wyjątki, nawet z każdym dniem rzadsze. Te wyjątki, burmistrzując jednak za nadto, przyczyniały się, mogą i jeszcze przyczynić się do skrzywienia drogi.

Istotnie, gdy narody Austryi wydały ciężki i zażarły bój biurokratyzmowi, były w tych pięknych czasach rzeczywiście wielkiemi. — Ten bój przedstawia coś szczytnego, znakomitego! Gdy zwyciężyli — niestety, zmaleli. Paskudna nikczemna strona biurokratyzmu, czyniąc oburżające wzruszenia; duch europejski przemycany do Austryi, pogarda prawami narodów, krzyczące niesprawiedliwości dokonane na Polsce, ukształciły narody Austryi do tej szlachetnej wspaniałej walki. Lecz gdy przyszło do czynu, do korzystania ze zwycięztwa, do rządzenia się własnemi siłami, tu utknęli, nie mieli bowiem ni pola ni wzoru, gdzie tej wielkiej sztuki mogli się nauczyć. Wychowanki biurokratyzmu, stali się, w innej formie, biurokracją.

Biurokracja nie padła pod siłą fizyczną, lecz pod parciem moralnej wyższości. To też ochłonąwszy z pierwszego panicznego przestrachu, gdy poznała słabość fizyczną, nadto wielkość zmalałą w czynie, zrozumiała, że nie jest rażącą niższością i rozpoczęła reakcję. Gmatwając się jednak, za słaba by zwyciężyła; — za silna by ją zgniótł ruch niedołężny, zbliżyła państwo do krawędzi przepaści.

Niebezpieczeństwo spoczywa dzisiaj w tym wpływie, jaki biurokratuzm zostawił po sobie. Zależy od tego, czy narody Austryi, przeszedłszy dość długą szkołę doświadczenia i chłostę nieszczęść wszelkiego rodzaju, zdołają wyswobodzić się z pod wszelkich form biurokratycznych i potrafią rządzić się ze stanowiska wyższych zasad i wyższych pojęć. Tu pokaże się czem są narody. Łatwo czuć ucisk i krzywdę. — Kiedy biją boli. — Ból czuje się mimowolnie. Trudniej, wyzwoliwszy się z pod bata despotyczego, stawiać krok samodzielny, — stawiać go rozsądnie. Trzeba na to wyższego umysłowego ukształcenia, nie od biurokracyi przyjętego. — Trzeba jeszcze czegoś więcej, czegoś może i trudniejszego: pozbycia się paskudnych robaczków, — któremi wiekowy wpływ obrzydłego biurokzatyzmu zarazić musiał.

W sprawie pisowni. *

Szanowny Panie Redaktorze! Kiedy nieodżałowany Łukomski rył na miedzi popiersie Twoje, położyłeś pod nim godło piękne i godne naśladowania. Prawdą a pracą, napisałeś tam wtedy; któżby takiego hasła nie przyjął za swoje. Pozwól, że się dziś do niego odwołam. — Pozwól mi w jego imię zażądać od Ciebie, żeby organ Twój był bezstronnym organem prawdy; pozwól spodziewać się, że szanujesz każdą pracę, choćby nawet gramatyczną.

W imię tego dwojga proszę Cię, Panie Redaktorze, o zamieszczenie w Twym „Tygodniu“ niniejszego artykułu, który zawiera odpowiedź na korespondencyą z dnia 14. b. m., pod znakiem: „Podzamcze“, a podpisem: „Lubicz.“ Daleki od odpowiadania na zaczepki osobiste, które zawsze same sobie odpowiadają, dotknę tylko kilku punktów właściwej treści, żeby czytelnikom „Tygodnia“ choć tylko streszczone, ale prawdziwe dać wyobrażenie o dążnościach ks. Maliwskiego i jego zwolenników.

1. P. Lubicz przyznaje nasamprzód, że gramatyki ks. Malinowskiego nie zna, a jednak
2. oskarża go o łączenie Wszechsłowiańszczyzny pod panowanie jednego cara.
3. Pan Lubicz nie czytawszy gramatyki twierdzi, że ks. Malinowskiemu chodzi o idealną pisownią fonetyczną, i nazywa taką pisownią po prostu utopiją — absurdum.
4. P. Lubicz twierdzi, że znaki konwencyonalne nigdy absolutnie wszystkich głosów wyrazić nie zdolne;
5. Dla tego pisownią choćby nie tak ściśle fonetyczną, a zachowującą historyczne ślady kształcenia się języka, — wykazującą genesis wyrazów, słowem pisownią etymologiczną uważa za pożądańszą.
6. O ile z dalszego wnosić wolno, pan Lubicz mniema, że obecna pisownia polska (która i czyja?) mogłaby służyć za podstawę do takiej pisowni etymologicznej.
7. Reszta korespondencyi zawiera, po odrzuceniu wycieczek osobistych, ten sens moralny, że należy zostać przy pisowni starej choćby ułomnej — byle nieco poprawnéj — jako uprawnionej historycznie,
8. a w końcu, że do komissyi, prawdopodobnie tylko poznańskiej nie mogą wchodzić uczeni wplątani w żaden system, tylko gotowi rozstrzygnąć wnioski rozliczne.

W odpowiedzi zaręczam nasamprzód Szanownemu Autorowi, że czyni mi niezasłużony zaszczyt, mówiąc w tej korespondencyi za wiele o mnie, jak gdyby nie wiedział, że nie jestem w tej sprawie niczym, jak tylko uczniem ks. Malinowskiego, jego zwolennikiem i propagatorem reformy przez niego wprowadzonej. Jako taki śmiem jednak Autora zapewnić, że gdyby był gramatykę ks. Malinowskiego czytał nie byłby

1. wyrządził mu tej krzywdy i nie rzucił na niego tej obelgi, jakoby szanowny starzec sprzedawał język polski carowi, bo się o tém ks. Malinowskiemu ani śnić nie może, kiedy poprawia nasze abecadło łacińskie, a potępia stanowczo graždankę moskiewską.
2. Żałuję, że p. Lubicz z artykułu mego w Dzienniku Poznańskim nie spamiętał sobie różnicy pomiędzy grafiką a pisownią, bo czytelnikom utrudził zrozumienie tego co napisał. Ale w przypuszczeniu, że autor istotnie pisownią fonetyczną uważa za absurdum, zwracam uwagę jego na to, że pisownią, taką ściśle fonetyczną mieli Żydzi, Grecy, Łacinnicy, t. j. że oni po prostu pisali tak jak mówili, tymczasem ks. Malinowski jest za tem żeby piscwnia polska była częścią fonetyczną, częścią etymologiczną, o czym niżéj.
3. Jeżeli autor twierdzi, że wszystkich głosów polskich w abecadle oddać nie podobna, to pytam uprzejmie, jakiego to głosu abecadło ks. Malinowskiego oddać nie może? Ja twierdzę, że oddaje

* Umieszczając korespondencją, którą nas Dr. Rzepecki zaszczycił, do czego czujemy się obowiązani — radzibyśmy, ażeby ta sprawa jak najrychlej i najpomyślniej rozwiązaną została. — Jest ona niezaprzeczenie ważną, jednakże sądzilibyśmy, że zużywa sił, stosunkowo do swego znaczenia więcej niż my dziś na ten przedmiot wyszafować możemy.

Przyp. Red.

je wszystkie. Jeżeli zaś autor wchodząc na stanowisko ściśle sofistyczne powié, że przecież inaczej brzmi *a* w wyrazach *bat, bas, bark, bank*, i t. d., stósowne do następnych spółgłosek, to przyznając mu w tym względzie racyą, pytam wtedy: które z abecadeł, lepiej te głosy polskie oddaje, czy stare, czy nowe? Autor przekona się n. p. na swoim *Podzamczu*, że podług obecnej pisowni można je czytać *Pod-zamcze* albo *Po-dzamcze*, której wątpliwości abecadło ks. Malinowskiego już nie zna.

A wreszcie zamiast ogólnikowych skarg i utyskiwań należało raczej abecadło ks. Malinowskiego rozebrać krytycznie i wypowiedzieć: ta a ta postać mi się nie podoba, te a te mięszczą się w abecadle tym niekonsekwencye. Byłoby to i otwarcie i wyraźnie i korzystnie dla nauki; tymczasem deklamacye deklamacyami zostaną i czytelników nie oświecą.

4. Teraz nie wiem czy autor mówi o abecadle etymologicznym, czy o pisowni etymologicznéj i czy jedno i drugie Polakom zaleca.

Abecadło etymologiczne jest niepodobieństwem. Gdyby n. p. pochodna litera *c* miała zachować znamiona swego rodowodu, to musiałaby raz być podobną do litery *t* n. p. *pot*, *pocę się;* drugi raz po *k*, n. *matka*, *matce*. Dalej brzmienie *ż* pochodzi od trzech brzmień: *z, g* i *h*, n. p. *wóz*, *wożę*, *mogę*, *możesz*, *Sapieha*, *Sapieżyński*, musiałoby więc mieć trojaką postać, i t. d. i t. d. Tego zapewne p. Lubicz nie żąda.

Pisownia etymologiczna także nie może już zapanować u nas wszechwładnie, bo trzeba się liczyć z historyą. — Pisać *izdba*, *serdce*, *dcórka*, *oćczyzna*, *prześcieładło*, *kołowody* już pewnie nie będziemy nigdy, ale pisać możemy i powinniśmy: *blizki*, *męzki*, *francuzki*, *módz*, *lédz* i t. d. *jich*, *jim*, *jistota*, *jimię* i t. d., bo tak każe etymologija. Pisownia ks. Malinowskiego jest więc fonetyczno-etymologiczną, t. j. rachującą się z przeszłością i terazniejszością.

6. Jeżeli autor mówiąc o podstawie pisowni etymologicznej, chwali obecne abecadło, jako nibyć etymologiczne, tu zwracam jego uwagę choć na jednę tylko okoliczność, że jeżeli kształty *dz*, *dż* i *dź*, wydają mu się etymologiczne, co tak nie jest, to też i brzmienia *c*, *cz*, *ć*. powinny się właściwie pisać *tc*, *tsz*, *tś*, czego pewnie nikt, ani nawet p. Lubicz proponować nie będzie.

Jeżeli autorowi zdaje się, że grafika, t. j. abecadło polskie nosi na sobie ślady kształcenia się języka, to zapewniam go, że ks. Malinowskiemu nie przeszło ani przez myśl, żeby wyraz *baba* pisać odtąd inaczej jak czterema ltterami *b*, *a*, *b*, *a*, wyraz *car*, trzema, wyraz *poseł*, pięcioma, *okolica*, siedmioma i t. d.

Co innego formy gramatyczne. Tu się możemy posprzeczać i spytać, czemu n. p. autor pisze *gotowém prawem*, Tydzień zwykle *gotowem prawem*, a ks. Malinowski *gotowym prawem;* ale lepiej to odczytać w gramatyce dotąd nieczytanej.

7. P. Lubicz zachęca do wytrwania przy starej pisowni i starej grafice. Nie mamy mu tego za złe, a gdy nas przekona o słuszności sprawy, to i my się cofniemy i pójdziemy za nim. — Prawdą a pracą! Kto służy prawdzie, temu prawda dopomoże, kto pracuje, ten zbiera. Ks. Malinowski nie ma żandarmów, nie ma mecenasów, ani nawet jednego czasopisma na swoje usługi; walczy on tylko siłą swej nauki; jeżeli ta nic nie warta, to i wszelkie agitacye na jego korzyść nic nie pomogą. Prawda zwycięży! Dziwię się tylko, że p. Lubicz niepotrzebnie się trudzi i sprzeciwia się jego kołowaciźnie uczonej, choć jej nie czytał.

8. Znajdując w Tygodniu już po trzeci raz, a zawsze niekorzystną wzmiankę o dążnościach ks. Malinowskiego, zaczynam podejrzywać, że się ktoś bardzo boi, żeby ks. Malinowski w komissyi Poznańskiej nie zwyciężył. — Śmieszna obawa. — Wszakże *Nec Hercules contra plures*. — Niebójcie się Panowie. Jeszcze nas nie tak wielu abyśmy was kréskami pobić mogli. Nie zwyciężym dziś, nie ma o to obawy, ale że zwyciężym kiedyś, tego jesteśmy pewni. Strach przed ludźmi wplątanemi w system zasypuje wam oczy, że jasno nie widzicie. — Kto w gramatyce uczony, ten musi ją znać albo z jakiegoś obcego systemu, albo też posiadać swój własny. Może nawet być eklektykiem z trzech, czterech lub pięciu systemów, aleć zawsze musi mieć jakiś system, choćby eklektyczny. Gramatyk bez systemu to jakieś nowe zjawisko, które ciekawi bylibyśmy poznać; ale i to być może; w naszych czasach kołowacizny naukowej i tacy rodzić się mogą.

Przyjm, Szanowny Panie Redaktorze zapewnienie prawdziwego szacunku.

Ludwik Rzepecki,
filozofji doktór, nauczyciel przy szkole realnej w Poznaniu.

Nowe Książki.

Dr. A. Bronikowski.

Thucydidesa Historya wojny peloponeskiej, przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Ostrów — Wrocław w kom. księg. J. Priebatscha. 1870. 8. str. 447.

Nie pierwszy to przekład przyswajający nam zabytki starożytnej literatury greckiej, winniśmy prawdziwie niezmożonej wytrwałości prof. Bronikowskiego. Ażeby tę pracę ocenić, potrzebaby znać jej naturę, przygotowanie i studja jakich wymaga, obojętność ogółu, niepochopność wydawców, trudność pozyskania nie już uznania, które tylko poważniejsze umysły wydzielić są zdolne, ale nawet poszanowania trudu, naostatek lekkomyslność krytyki, która często nawet chluby szuka z tego, iż oświecić się nie pragnęła — a sądy wydaje ze stanowiska fantazij własnej

Cóż tedy rzec, gdy człowiek mając do zwalczenia tyle, w najgłębszém przekonaniu swém czerpiąc pobudki do pracy, nie ustaje w niej i na zimne prześmieszki odpowiada nowemi dzieły. Najobojętniejszego trzeba by na to, ażeby nie uczuł poszanowania dla wiary z jaką się to czyni i zasługi niezmordowanego wytrwania.

Brakło do sromot literatury naszej tego, byśmy się zetknęli teraz nawet ze zdaniem, iż starożytne języki, filozofija, literatura, w cale nie są już potrzebne, brakło tylko by nam cynicznie w oczy rzucono, iż to zastarzałe pedanctwo... aleśmy za dni naszych doczekali i tej od nowego pokolenia niespodzianki. — Upadek jawny piśmiennictwa naszego, przedzierzgnięcie się jego w bałamutne a wodniste gadaniny, dobrze się tém tłumaczą i harmonizują ze wzgardą tradycji wszelkiej — ale obowiązkiem twardej godziny tej, właśnie być musi, stać ludziom wytrawnym przy standarze prawdziwego światła, które po za nauką pozyskaném być nie może. Wolno młodzieży swawolnej lekceważyć to czego uczyć się nie chciała, starszym należy wskazywać drogę właściwą wiodącą ku światłu.

Do gruntownego ukształcenia, mimo nadaremnych pokuszeń o wyrugowanie filologij klasycznej, jest ona i będzie narzędziem a drogą najpewniejszą. Rozumowanie i doświadczenie są z sobą w zgodzie pod tym względem; najzdolniejsi ludzie, którzy przez szkołę filologiczną nie prześli zawsze noszą na sobie cechę niezupełnego, ułomnego wykształcenia, któremu brak jakby świadomości jednej sfery, w której się umysł ludzki najszerszemi skrzydły obraca.

Wszystkie kraje, których wychowanie uorganizowano lekceważąc filologię starożytną, dają to czuć w swojej cywilizacji i duchowym ustroju. Najgruntowniejsze umysły, którémi może się pochlubić Anglija, ten kraj gruntownej oświaty, Niemcy to naukowego życia europejskiego ognisko, przeszły przez klasyczne studja. Wiele wad umysłowych, na obliczu Francij, da się wytłomaczyć zaniedbaną filologiczną edukacją lub jej niedostatecznością.

Filologiczne studja, przeważnie się opierają na greczyźnie i łacinie mniej stosunkowo na hebrajszczyźnie. — Łacińska literatura bez greckiej, jest niemożliwą, bo helleńska podstawa jej, źródło, wzór pierwszy stanowi. Są to rzeczy aż nadto wiadome, które przecież u nas powtarzać dziś potrzeba, tak w poniewierkę poszły.

Przygotowani i niegotowi śpieszą na arenę czynnego życia sądząc, że się tam bez wiela obejść mogą — i wyrastają na takich, bez których by się téż społeczność wyśmienicie obchodzić mogła. Póty u nas było ludzi i literatury poważniejszej, dopóki filologiczne studja dla innych zaniedbanemi nie były.

Przypatrzmy się faktom. — Wiek XVI. najświetniejszy wyrósł z tego posiewu odrodzonych nauk filologicznych, które czerpano we włoskich uniwersytetach, Janicki, Kochanowski, że pominiem innych byli to znakomici łacinnicy, wielu z nich pisało po grecku. Nieszczęściem powabniejsza jakoś a do rzeczypospolitej naszej z zamarłego oblicza pozornie podobniejsza téż literatura rzymska, (ten odblask greckiej i jej epigony przerodzone), przeważnie u nas królowały. Mieliśmy wszakże Polaków w greczyźnie biegłych, świadkiem Tomasz Poznańczyk, tłumacz Hezjoda, Szymon Marycki, Demostenesa, Patrycy Nidecki, Warszewicki tłumacz Aethiopików Heliodora, bodaj najpierwszy na język łaciński...

Gdy w połowie niemal XVII. w. słabną u nas filologiczne i studja i prace, a szkolne nauczanie się psuje i poszedłszy w ręce jezuitów schodzi na nędzne formułki — zarazem nie staje nam pisarzy, literatury, wykształcenia ogólnego... i charakterów. Czemuż przypisać odrodzoną świetność literatury nowej w Mickiewiczu, jeśli nie Groddekowi, Mienichowi, Capellemu i gruntownej filologicznej podstawie uniwersytetu wileńskiego.

Gdybyśmy innych dowodów nie mieli, łacińska oda Adama na wzięcie Bomarsundu, stała by za najlepszy jak Mickiewicz uczonym był i świadom klasycznych języków. — Od tego csasu mało imion spotykamy, które byśmy zacytować mogli jako zasłużone około uprawy filologij u nas, ale nam przecież na nich nie zbywa. Wymienim tylko Wannowskiego, Cegielskiego, Węclewskiego, Brandowskiego a jako tłumaczów, Eljaszewicza, Hoszewskiego... Zresztą nie idzie nam tu o greczyzny historję u nas, ale o wykazanie zasługi człowieka, który widząc jak nam brak przez inne literatury dawno przyswojonych skarbów greckiego piśmiennictwa, życie swe całe zadaniu gorąco do serca przyciśniętemu poświęcił.

Cóż z tego? Oto go niedouczeni salonowi lileraci jak Siemieński okrzyczeli za dziwaka dla tego, że ich politury denerwującej i zmieniającej charakter starożytnych pisarzów, nie przejął.

Ależ zaprawdę ani do pisarzy greckich, innego świata, innych pojęć, innego stylu i myślenia obrotu ludzi — ani do ich przekładów siąść tak łatwo nie można, jak się usiada do czytania Musseta i Balzaca lub do smakoszowania się z Hejnem.

Dzielą nas od nich tysiące lat... Myśl na ówczas w innej gymnastyce ćwiczona obracać się była nawykła inaczej, chodziła tryby innemi. W pokorze ducha należy się przetworzyć na nowego człowieka zamierzając starych ludzi studjować.

Świat i język grecki najwierniej przełożony na język polski jeszcze dla wielu obcym będzie, póki go sobie wyszpociwszy na swój sposób zrozumiałym nie uczynią. Inaczej ci co na prawdę weń wniknąć chcą, bo ci siebie niemal na Greków przełożyć muszą, aby z nieśmiertelnemi obcowali duchami.

Przyjdźmyż do Thucydidesa i jego tłumacza, a najpród wejrzyjmy co to za olbrzymią pracę dokonał w cichości, w nieuznaniu i zobojętnieniu...

Począwszy od roku 1858. i wydania Xenofonta, o rządzie domowym; bierze się prof. A. Bronikowski za Platona, którego w tymże roku wydaje tom pierwszy, w błogiej nadziei, iż mu kto dopomoże do wydrukowania całości, gotowej w rękopiśmie. — Aleć płonne nadzieje dotąd.

W następnym roku wydał już cztery pierwsze rapsodje Odysei, (1859) które dopiero w r. 1867. udało mu się doprowadzić do końca. Prace te albo milczeniem się zbywają lub pomijają łacném szyderstwem z języka, który walczy z greczyzną a od niej też barwy niezwykłej nabiera.

Nie zraża to czci godnego pracownika, który gdzie i jako może rozrzuca ziarno, pewien że one kiedyś powschodzi. Dodatek do Czasu przyjmuje Xenofonta „O dochodach Atheńskich i Łowiectwo (Cynegetykę), programmy szkolne zapełniają się trzema pierwszemi księgami Rzeczypospolitej Platona (1862 1864 1866).

Osobno wychodzi w Ostrowie Xenofonta Hippika i Hipparch 1860) potém wspomnienia jego o Sokratesie, aż nereszcie Thucydides — dziś po wielu latach doprowadzony do końca.

W innych krajach, starają się o to stowarzyszenia, ministrowie, mecenasi u nas ofiarny duch profesora prawie bez pomocy niczyjej dźwiga te ciężary, aby je złożyć na publicznym ołtarzu... Cóż potém, gdy się to dziś nawet dobrém uznania słowem nie nagradza... I rzekną wielcy politycy dzisiejsi — Co nam po Thucydidesie, a eleganci salonowi — Co nam z Xenofonta... W ostatku uperfumowany tłumacz francuzką metodą rzeknie ramiony ruszywszy — Chropowato... a doda — niezrozumiale, może iż zrozumieć nie był w stanie. Już byśmy tu radzi ustąpić słowa szanownemu profesorowi polecającemu Thucydidesa swego, choćby dla tego, żeby nieposledniej oryginalności styl, staroświeckiego kroju dać nam poznać. Nie my mu pewnie za złe weźmiemy, iż w ten sam głos nie uderza co my wszyscy ludzie naszego czasu, wymodelowani na styl jeden a do zbytku jednostajny tak, że pod nim jak pod maską człowieka nie dojrzysz.

.....„Rzesze w dłoń uderzają z poklaskiem, ale jakżeż razi niezmierzony odstęp tych rzesz od owych, które niegdyś na płaszczyźnie Olympii przysłuchiwały się nie skarżąc na ciemność, przeoszczędnym w wyrazy a bogatym w treść, opowiadaniom dziejopisów.

Wszakże mieliśmy i sami Długoszów, Kromerów, Naruszewiczów, o których spiżowe tarcze drobne harcowniki dziś kopijki kruszą. Wzorem ci i tym mężom byli, nie mało retoryce kosztem powagi i prawdy poświęcający, dziejopisarze rzymscy Sallustiusz, Liwiusz, Tacyt nawet — na najznakomitszym Juljuszu Cezarze snać nie poznano się — któryż się przecie z tegoczesnych zbliżył do ognia i siły ich wyrażenia? Najznaczniejsi Bóg nie daj zatonęli lub toną w oschłe odgrzebywanie rzeczy, a znowuż — gołe wydobycie i przetrząśnienie wypadków, jakkolwiek konieczne i pełne zasługi, bez natchnionego zestawienia ich na przestrzeniach myśli w żywy niegdyś bezpośrednio całokształt — przygotowaniem dopiero jest pracy.

Zbliżyć też (kiedy inaczej być nie może) od zbyt nabitej zwięzłości starożytnych do t a k z w a n e j swobody dzisiejszego toku opowiadania zdarzeń dziejowych; nie jest to samo co kunszt historyczny całkiem wyzwolić z przywilejów z żadną nową kartą uchylić się nie dających, bo jednę tylko na zawsze przyniósł do bytu." Uprzedzając zarzuty autorowi czynione, a dla tłumacza też nieochybnym spadkiem zejść grożące, powiada o Thucydidesie profesor.

„Styl Thucydidesa w opowiadaniu często szorstki, pozornie goły, nie zrzadka strzępion archaizmami, acz ściśniony dostatkiem już tutaj; przecież (z wyjątkiem miejsc nie wielu) zagęszcza się i zawija dopiero w mowach. — Do tych więc istotniej odnieść się godzi narzekania dawnych i nowożytnych na słynną niby niezrozumiałość. — Atoli i te i tamte właściwości tak są nieodzowne do zarysu tej nadzwyczajnej osobliwości pisarskiej, że zacierając je (jak to między innemi Lévesque w przekładzie francuzkim uczynił) rzeklibym, zbrodnię literacką się popełnia. Więcej zaiste ma prawa Thucydides żądać, by się czytelnik do jego odrębności w pocie czoła podźwigał, niżeli ten do zdzierania wspaniałego ustroju posągowego, który genjusz sam sobie wykował. Nagradza się wszy przytrudne to chwilami ducha naprężenie jako każe w równej mierze, rozwodniony w bezbarwność tok myśli. — Jeżeli na koniec do wszystkich pisarzów greckich, tak skromnych z pozawnątrz bo wnętrznej znamienici pewnych; to do Thucyditesa na czele, przynosić trzeba pragnienie nie mglistych jakichś zachwytów, ale wiednej siebie umysłowej rozkoszy. Ta nie gubi, owszem uzacnia obyczaje zdobiąc, a zrozumiałem czyni związek i konieczność przewagi ideału nad potocznością w życiu i nie odwrotnie, jak się to niestety po dziś dzieje." —

Póty tłumacz. O dziele mówić wymieniwszy imie pisarza — o wojnie peloponezkiej, śmiesznem byłoby. Przekład mozolny, wierny, zaprawdę pasowanie się z oryginałem często opornym — kosztował profesora przeszło rok pracy twardej. Niechże mu za to będą dzięki, i jeśli słowo dobrej woli co znaczy, niech mu też ono zachętą się stanie by trwał w przedsięwzięciu.

Tłumaczów dzieł greckich nie mamy siła, raczej tak niedostępnych, albo tak niedostatecznych, iż Bronikowskiemu należy chwała odkopania dla nas tego zasypanego Olkusza.

Ogrom pozosał do zrobienia, przy pomocy Bożej. — Takich nam właśnie potrzeba wiernych a nie lękających się często szorstkiego a wyrazistego starożytnych oblicza jak Bronikowski lub Marcelli Motty, którego przekład Chmur Aristofanesa nowy prawie świat dla wielu odkrywa. I nie lepiejże się z tych ksiąg uczy starożytnych, niżeli z onych pseudo historij literatury i kompendjów na XIX. wieku formy urobionych, że w nich właściwa znika. A nigdyśmy téż bardziej nie potrzebowali wrócić do źródła, jako dziś za daleko odeń odszdłszy.

Prawdziwego światła, którego resztkami żyjemy do dni naszych, kolebką była Grecja. — Dość się obejrzeć w koło, ażeby poszukawszy znaleść, iż więcej pożyczanego z tamtąd mamy, niżeli własnego. Przerobiliśmy wiele, tworzenia władza prawie wyłącznie temu wiekowi młodzieńczemu służyła. Jeżeli gdzie to w sztuce i piśmiennictwie bezpłodniśmy kopiści a pokusiwszy się o oryginalność tylko nieudolności dajemy dowody.

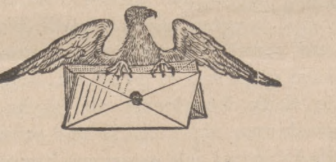
Może tym lwim szpikiem podkarmieni odzyskalibyśmy siły i wrócili słowu onę jedność i znaczenie, które ono jak wyśliżgany grosz chodząc z rąk do rąk straciło.

Więc Xenofont, Plato, Homer, Herodot, Thucydides naszemi są w całości lub części trudem Bronikowskiego — choćbyśmy się z obojętnością znowu spotkać mieli, choć my mu pocichu przyklaśniemy z serca jako dzielnemu pracownikowi, który dobrze się zasłużył krajowi.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— Powieść pierwsza p. Matyldy Bourdon, w tłumaczeniu p. Marji Antonowicz: A g a t a c z y l i p i e r w s z a k o m u n j a, — zapowiedziana w jednym z przeszłych numerów, już wyszła z druku. Druga, należąca do tegoż zbioru: Ż y c i e w r z e c z y w i s t o ś c i, jest pod prasą. Niepotrzebujemy zalecać znanej z prac swych dla młodzieży autorki, której pisma we Francji po kilkanaście wydań miały. — Szczupła ilość książek dla młodzieży, przekład ten czyni bardzo pożądanym. P. Marja Antonowicz od samej autorki uzyskała pozwolenie tłumaczenia i upoważnienie od wydawców. Spodziewamy się, że przyjęcie tego przekładu dokonanego sumiennie zachęci do zbogacenia bibljoteczki młodzieńczej, całym szeregiem pism p. Bourdon.



— **P. J. B.** w Krakowie. Szczegóły zawarte w korespondecji, o której mowa, przyznajemy to chętnie, opuszczonymi być mogły, ale przecież nic dla osoby uwłaczającego nie mają; a są — zajmujące. Ani charakterowi ani talentowi nie chybił korespondent. Ubolewamy bardzo nad stratą czytelnika — ale — jeśli być inaczej nie może — *fiat voluntas tua?*

— Korespondentowi z Berlina. W tem rozumieniu właśnie pisaliśmy przywiedzione przez was wyrazy; nie powinnoby to ulegać wątpliwości.

— **Nadwiślaninowi w Szlązku.** Serdeczne dzięki; staraliśmy się omyłkę naprawić.

Ofiary dla ks. K. Sosnowskiego.

Redakcja otrzymała od Pani E. Wilkxyckiej z Wabcza talarów 10.

— Z Belgji nadesłano nam pismo następujące:

„Odezwa i inicjatywa w Tygodniu zamieszczona a dająca wiedzieć, że wielce szanowny administrator dyecezji lubelskiej i podlaskiej, ks. Sosnowski, dziś jedyny reprezentant duchowieństwa polskiego z zaboru Moskiewskiego na Koncylium w Rzymie, oprócz całego brzemienia nieszczęść jako tułacza nękających, znajduje się w niedostatku i sędziwy starzec walczyć musi z potrzebami materjalnemi; jako towarzysze w prześladowaniu i tułactwie na powyż rzeczony odgłos pospieszamy z całego serca dołączyć nasz grosz wdowi do ofiar jakie z pewnością na ten cel rodacy tak z wygnania, jak z zaborów złożą. Przekonania jakiemi jest ożywiony i jakie wypowiedział w swych listach do stowarzyszonych kapłanów, nie podzielamy w zupełności, ale jesteśmy ze czcią i uwielbieniem dla Jego prac i cnót w tyloletnim żywocie spełnionych, do boleści wspólnych nam z Najszanowniejszym Prałatem i ta nam jest wspólna, iż ubodzy ubogiego niemożemy tak wesprzeć jak znamy tego potrzebę. — A n v e r s, 7. Czerwca 1870."

Do listu tego przyłączona lista następująca:

Ks. Kotkowski b. proboszcz i dziekan z diecezji Sand	10	frank.
Ks. Feliks Dąbrowski	5	—
Ks. Józef Czajkowski b. wik. archidyecezji warszawskiej	5	—
Ks. Klemens Rogoziński	5	—
Ks. N. N. z Anvers	2	—
Ks. Juljusz Drohojowski	5	—
P. Ludwik Domański inżynjer z Verviers	5	—
P. Stanisław-Kostka Jasiński z Brukselli	4	—
Razem	41	frank.

(Dodatek.)

Nasza Solidarność.*

W Maju 1870 r.

Źle się milczeniem służy ojczyznie, kiedy czas do mówienia — a, aby mówić, obowiązkiem mieć odwagę nietylko w obec przeciwników i wroga, lecz w obec mężów, którzy w większym lub mniejszym zakresie nie jednę dla kraju położyli zasługę.

Organizm narodu z następnych przeważnie składa się czynników:

Oświata, jej dźwignia szkoła.

Prawodawstwo, seim jego organem.

Zdrowa, konsekwentnie prowadzona narodowa polityka.

Nakoniec, u kogokolwiek rozwinięte poczucie narodowej godności, czyli tak nazwana:

Święta miłość ojczyzny.

Rozpatrując się w ostatniej kadencji sejmów pruskiego i bundestagu, w domaganiach się naszych w imieniu narodowej oświaty dla dwumiljonowej ludności polskiej pod berłem pruskim zostającej, ograniczyliśmy się, aby w nowo utworzyć się mającem gimnazjum w Wągrówcu w trzech klassach i to najniższych wykład nauki był polski.

Rząd król. odpowiedział zwinięciem polskiej kwarty w gimnazjum św. Maryi Magd. w Poznaniu.

Dwa miljony ludności polskiej pod berłem pruskiem zostającej nie zależy na tak skromnej mocyi jednego pojedyńczego przypadku, jej się całe wychowanie publiczne w ojczystym języku należy.

Nieomal nazajutrz po zwycięzkiem wkroczeniu sprzymierzonych w mury Paryża, w przeddzień bitwy pod Waterloo, królowie pruscy w patencie zaborczym na dniu 15. Maja orzekli:

„I wy Polacy, którzy zasługujecie na mój szacunek, pod moim berłem waszą macie mieć ojczyznę.“**

Cóż to jest ojczyzna bez narodowej oświaty. Czy ta oświata jest możliwa, jeżeli rząd kr. polskiemu dziecku nieomal od kolebki wydziera to, co mu w życiu najdroższem być winno: Zamiłowanie ojczystego języka.

Pod berłem pruskiem zostająca ludność polska dawno z tą się pogodziła myślą, że dla niej karjera czy wojskowa czy cywilna są zamknięte. Prócz kilku sędziów, nauczycieli, adwokatów i tłumaczy Polaków, raczej dla dogodności rządu trzymanych — Polakom o urzędowaniu nie myśleć.

Ludności polskiej o urzędniczą karjerę nie chodzi, przeto Staatsexamina w niemieckiem państwie niechaj zostaną, lecz chodzi o gruntowny umysłowy rozwój w narodzie. Kilkadziesiąt zdolniejszej młodzieży przełamie trudności wykładu naukowego w obcym języku, ale przedewszystkiem całe naukowe wykształcenie powinno być przystępne całej massie polskiej kształcącej się młodzieży, w ten tylko sposób w massie rozwiną się jasne, zdrowe pojęcia, i staną się jej przystępne inne zawody społecznego życia. I wśród Polaków są potężniejsze umysłowe zdolności, które potrafią kwiat zagranicznej oświaty Francji, Anglji, Niemiec, na własny zasób przyswoić, by ją dalej szczepić na niwie ojczystej, lecz w jakiż sposób ma się stworzyć spójnia między kilkunastu ludźmi głębokiej wiedzy i wszechstronnej nauki i całą masą narodu.

Wydzierać dwumiljonowemu odłamowi dziesięciomiljonego szczepu od kołyski nieomal to co mu najdroższem być winno, jego język ojczysty, wskazywać młode pokolenia na wykoszlawienie pojęć a niedowarzoną naukę, w międzynarodowem prawie jest występkiem.

W parlamentarnym języku: średniowieczną anormalnością. (Po naszemu średniowiecznem barbarzyństwem.)

Król Fryderyk Wilhelm III. za siebie i swoich następców, nazajutrz po doznanych przez nas klęskach, dla odłamu zwyciężonego narodu wyrzekł prawdziwie wzniosłe słowa, przyrzekł mu:

Narodowość,
Religję,
Język ojczysty,
a przedewszystkiem: Własny szacunek.

Lecz któż, jeżeli nie my sami, winniśmy niezmordowanie codziennie naprzeciw kr. rządowi, naprzeciw liberałom w gatunku byłego p. von Vincke dopominać się urzeczywistnienia słów królewskich.

Jeżeli my, stojąc na kresach polskiej na zachód oświaty, przy tak obszernych przyrzeczeniach monarchów pruskich, ograniczamy żądania nasze na trzy najniższe klasy i to do jednego gimnazjum — nie dziwmyż się zamąceniu pojęć w innych Polski dzielnicach. Nie dziwmyż się podobnym jak Dra Machalskiego w Krakowie na dniu 15. Kwiet. wystąpieniom, który w szkołach i na uniwersytecie młodzież polską chciał uszczęśliwić niemieckim nauk wykładem.

Nam pod berłem pruskim zostającym Polakom wedle królewskich przyrzeczeń cały wykład nauki publicznej w ojczystym języku się należy.

Na sejmie Północnego Niemieckiego Związku dwie wniesiono mocje dla nas Polaków potężnej doniosłości:

Annektowanie Badenji.

Zuhthaus za polityczne przestępstwa.

Co do wcielenia Badenji do Północno Niemieckiego Związku: (Wedle zapisów Dz. Pozn. Nr. 58. r. 1870. r.)

„Pojmujemy te zabiegi wasze, że je pochwalamy i uznajemy, że nawet życzymy im powodzenia, z radością witamy takie poczęcie:

Narodowej jedności.“

(Dalej tenże Dziennik):

„Z tego wychodząc stanowiska wstrzymamy się ja i rodacy moi od głosowania nad wnioskiem rzeczonym.“

(Tyle Dzien. Pozn.)

„Pojmujemy te zabiegi wasze i t. d.“

I my i rodacy nasi pojmujemy te ciągłe zabiegi o nowe zdobycze: (l'appetit vient en mangeant). Czego jednakże i my i rodacy nasi wcale nie pomujemy, to tej wielkiej radości, iż pan Lasker i jego frakcja zamierzyli kanclerza Bundestagu naprzeciw Francji a patrjotów niemieckich (quand même) w chwilowy wprawić ambaras.

Czego nie pojmujemy, to tej wielkiej radości z nowszych dla Północnych Niemiec nabytków zwłaszcza, kiedy dotąd wbrew Pragskiego traktatu części duńskiego kraju dotąd nie zostały zwrócone duńskiej koronie.

Prusy po klęskach pod Jena, Eylau, Friedlandu nie sentymentalizmem powstały.

Powstały one, bo rząd ówczesny miał energją i odwagę wbrew ówczesnym patrjotom i publicystyce narodowej wyparcia się zawcześnie powstającego Schylla, co po zwycięztwie pod Wagram Prusom całkowitą polityczną zagładą groziło.

Po zachwianiu się potęgi Napoleona, po przejściu jener. Yorka do Moskali, rząd ówczesny po bardzo zimnej rozwadze z całą Prusakom właściwą energją poparł i uorganizował ruch narodowy, a przedewszystkiem Prusy powstały współudziałem i niemałem przyłożeniem się do zwycięztw, pod Lipskiem, Paryżem, Waterloo. Prusy wzrosły w dzisiejszą potęgę i przyszły do przewodniczenia w Północnym Niemieckim Związku nie sentymentalizmem, lecz zwycięztwami na polu bitew i bardzo zdrową, we własnym interesie mądrą, konsekwentnie z energią przeprowadzoną polityką.

Dla tego też my Polacy w skutek ciągłego systematycznego prześladowania a tępienia narodowości naszej, nie możemy się zgodzić na wcielenie 50 mil brzegów Renu w granicach Francji do Północno Niemieckiego Związku. Nie możemy się zgodzić na wkroczenie armji Bundestagu w mury Rastadtu, który dla środkowej Francji jest tem, czem był Luxemburg na jej północnych kresach.

Nie możemy i nie powinniśmy dozwolić na wcielenie do Północno Niem. Związku w jej granicach położonego kraju, coby zagrozić mogło zatargami z Francją, która naszych braci tułaczy, niewiedzących gdzie schronić swą głowę, szczutych przez biurokrację innego państwa jak dzikie zwierzęta, lat 40 blisko jak własne dzieci do swojego przytulała łona, a na ich utrzymanie miljony narodowego mienia łożyła.

Kiedy rząd kr. nawet tych kilku sędziów Polaków do dalekich powyganiał prowincji, lub im podawał dymisje, we Francji bracia

* Wszędzie, we wszystkim i zawsze jesteśmy za swobodnem objawieniem myśli i przekonań. Inaczej ani na innej drodze nie zdobywa się prawdy i dla tego w niniejszej odezwie, objawiającej śmiało zdanie o sprawach najżywiej nas obchodzących, z przyjemnością otwieramy dziennik, a przeciwnego zdania i polemiki dopraszamy się. — Każde przekonanie poszanujemy.

1 Czerwca 1870. J. I. Kraszewski.

** Przyrzeczona nieomal autonomja Polakom pod panowanie pruskie przechodzącym. — Chodoreski: Rys historyczno-bibliograficzny i Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego r. 1869.

ułacze czy w prywatnych czy publicznych zakładach korzystne zajmowali posady, lub zaszczytne sprawowali urzędy.

A zatem my Polacy i rodacy nasi ze stanowiska Narodowego i względów przeważnie praktycznych, w obec Bundestagu, chociażby nawet kosztem Solidarności, mieć będziemy odwagę wypowiedzenia głośno, otwarcie, że nigdy nie dozwolimy na rozłożenie obozów Północno Niem. Związku od Manhejmu po Basel, w oddrzwiach Montalamberta ojczyzny.

(Dalej Dz. Pozn.):

„Z tego wychodząc stanowiska, ja i rodacy moi wstrzymujemy się od głosowania w kwestji rzeczonej.“

W kwestji wielkiej międzynarodowej polityki, gdzie w danym razie posłowie o pokoju lub wojnie europejskiej rozstrzygać mogą:

My się wstrzymujemy od głosowania, i narodową politykę naszę redukujemy na:

Zero.

Przy rozprawach o karze Zuchthausu za przestępstwa polityczne: (wedle zapis. Dziennika Pozn. Nr. 67. 1870. r.)

Przy rozprawach nad pojedyńczymi paragrafami, kiedy dla Duńczyków łagodzące okoliczności przyjęte zostały:

Graf Schwerin:

„Ale ten paragraf orzeka karę na tych, którzyby z obcym państwem przeciw Związkowi się łączyli, a tacy winni być Zuchthausem karani.“

Azatem Zuchthaus tylko się Polaków tyczy.

(Dzien. Pozn. Nr. 81. 1870.):

„Z uwzględnienia chwilowego położenia i względów przeważnie praktycznych, jednomyślnie zgodzono się nie zabierać zasadniczo głosu.“

„Wypada im ze specjalnych powodów z dyskusji płynących kilku słowy zamanifestować swą bytność“ (ma znaczyć obecność posłów polskich w izbie sejmowej. Przyp. Aut.).

„Uważają zarazem za najwłaściwsze jak najkrótsze wypowiedzenie tego tylko, co za nieodzowne uważali:

„Nie chcemy dodawać dalszych drażliwych (narodowych) momentów do tej dyskusji, i dla tego ograniczam się na wypowiedzeniu posłowi Hoverbekowi naszej podzięki za „jego gorące słowa i t. d.“

Lat temu siedm nie spełna 140 zacnych w narodzie mężów, po dwuletniem śledczem więzieniu stało obżałowanych o zbrodnią stanu w obec wyjątkowego politycznego sądu. Groziła im kurta pospolitego zbrodniarza, dzielenie z nim przez lat dziesiątki stołu i łoża, a w danym razie i chłosta. Szczep dziesięciomiljonowy chociaż pod różne rozszarpany berła, był przejęty oburzeniem i trwogą o los swych ojców, synów i braci, chociaż zbrodni nie było.

Po latach kilku:

☞ „Z uwzględnieniem chwilowego położenia i względów *przeważnie praktycznych* zgodzono się jednomyślnie nie zabierać zasadniczo głosu.“

Zgodzono się zasadniczo nie zabierać głosu: W kwestji obchodzącej prawodawstwo całego ucywilizowanego świata.

Zgodzono się zasadniczo nie zabierać głosu: W kwestji już wyłącznie tylko Polaków i Polski się tyczącej.

Zgodzono się zasadniczo nie zabierać głosu: Tam gdzie całą inicjatywę byli zabrać powinni.

Zgodzono się zasadniczo nie zabierać głosu, kiedy *srom* i *groza* przepełniają piersi.

„Im wypada ze specjalnych powodów z dyskusji płynących kilku słowy zamanifestować swą bytność“ (ma znaczyć obecność w izbie sejmowej. Przyp. Aut.).

Ich kilku słowy zamanifestowana bytność:

Starczyć już ma jako żywe świadectwo w obec Europy, w obec całego cywilizowanego świata, że idea Polski nie jest, jak mylnie sądzą upiorem, ale żywym ciałem ducha i krwi dziesięciomiljonowego szczepu wśród Europy rozszarpanego i dławionego codziennie.

„Uważając za najwłaściwsze jak najkrótsze wypowiedzenie tego tylko, co za nieodzowne uważali:

„Nie chcemy dorzucać dalszych drażliwych narodowych momentów do tej dyskusji i t. d.“

Tam gdzie srom i groza przepełniają piersi, tam gdzie już nie narodowi całemu lecz każdemu z Polaków w twarz rzucona rękawica hańbiącej kary za ideę świętą w każdym cywilizowanym narodzie.

Za ideę, która lat tysiąc z nami się zrosła.

Za ideę która stała się ciałem; ciałem z ducha i krwi dziesięcio miljonowego szczepu:

Ideę Narodowej Jedności.

„Nie chcemy dorzucać do dyskussji dalszych drażliwych narodowych momentów!

Tam gdzie już nie narodowi, ale każdemu z Polaków, zamiast rękawicy w twarz rzucono kartę zbrodniarza, gdzie go wyzwano do śmiertelnej, nieubłaganej walki, nie już na śmierć lub życie, lecz o osobistą cześć z nas każdego!!

Wolimy wierzyć, że czoło każdego z obecnych w Izbie Bundestagu Polaków wstydem spłonęła na myśl samą, że należy jeszcze do dziesięcio miljonowego szczepu europejskich Helotów zidentyzowanych:

Sybirem z katorżnią;
Zuchthausem a kurtą zbrodniarza.

Wolimy wierzyć, że wszystka krew polska *Im* do serca zabiegła z osłupienia i grozy, a w pierwszej chwili *słowa na ustach zamarły*.

A tak w sprawie specyalnie Polaków i Polski się tyczącej, gorące słowa i nasza wdzięczność zacnemu *Cudzoziemcowi* w udziale przypadły.

Ztreszczając raz jeszcze wypadki kadencji sejmowej pruskiej i Półn. Niem. Związku:

Tam, gdzie się nam cała narodowa oświata należy, my się ograniczamy na jednym specjalnym wypadku i to do trzech klas gimnazjalnych najniższych.

W kwestji wielkiej międzynarodowej polityki:

Gdzie w danym razie posłowie polscy o europejskim pokoju lub wojnie stanowić mogą:

Kiedy jedni w swych sercach dla Montalamberta stawiają pomniki wdzięczności, zarazem dla Henryka Martin dziękczynne zbierają podpisy:

Inni wespół ze swoimi rodakami z niewymowną radością radzi do Rastadtu w prowadzić szeregi Niemiecko-północnego związku i od Mannhejm do Basel ich rozłożyć obozowiska w oddrzwiach Montalamberta ojczyzny.

Inni (wedle zapisów Dz. Pozn. Nr. 58. 1870. r.)

W kwestji Badeńskiej wołają:

„Bo zasada ta (narodowej jedności — przypis. Aut.) zrosła się z naszem ciałem i duszą, ponieważ żadnej ofiary, życia, mienia i krwi nie uważamy za zbyt wielką dla tej zasady.“

Kiedy do głosowania przychodzi nad kwestją europejskiej doniosłości, od głosowania się wstrzymują, i własna narodową politykę redukują na:

Zero.

Inni znów wygłosiwszy co dopiero dla Badeńczyków tak piękne zasady, w kwestji specjalnie Polaków i Polski się tyczącej, gdzie nie już narodowi całemu, lecz z nas każdemu zamiast rękawicy w twarz rzucono kurtę zbrodniarza, — za ideę, która jest chlubą każdego męża honoru w całym cywilizowanym świecie, — za ideę, która się stała naszym Zakonem, która z nami przez tysiac lat zrosła i stała się żywotnem ciałem naszego krwie i ducha, ideę narodowej jedności, gdzie nas wyzwano do śmiertelnej nieubłaganej walki nie już o śmierć i życie, lecz o osobistą cześć z nas każdego.

(Wedle zapisów Dz. Pozn. Nr. 81. 1870 r.)

Z objektywnego uzupełnienia faktycznej części:

Z uwzględnieniem chwlilowego położenia i względów przeważnie praktycznych:

Zgodzono się zadsadniczo nie zabierać głosu, zamanifestować kilku słow swą bytność, aby w najkrótszych słowach wypowiedzieć!

„Nie chcemy do dyskussji dorzucać dalszych drażliwych narodowych momentów.“

W imie głośnej solidarności, dopóki czas, zawołać się godzi:

Dokąd idziemy?

W imie głoszonej solidarności dopóki czas, zawołać się godzi:

Jakaż jest polityka narodowa nasza?

Źle mieć narodowi politykę błędną, lecz stokroć gorzej, jak to nasze dzieje z XVIII wieku dowiodły, niemieć narodowi żadnej.

„Matki nasze nieomal z rannym pacierzem wpajały dawniejszemi czasy w serce swych synów:

Exoriare aliquis ex ossibus ultor

— my w między narodowych zatargach o śmierć i życie narodów, naszym synom powtarzać będziemy: by do dyskusji nie dorzucali dalszych drażliwych narodowych momentów.“

Jeden z oborców Zaboru Pruskiego.

KOCHAJMY SIĘ.

OBRAZKI Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Zaszliśmy daleko — rzekł malarz.

— Nic nie szkodzi, zdaje mi się, mówił dalej starzec, że dla was, mój synu, jak dla mnie, odejście to daleko od świata — chyba miłém tylko być może. — Ja w mojém optymizmie a raczej wierzę w Opatrzność — spokojnie patrzę na ten stan przejściowy, jakkolwiek upokarzający dla ludzkości, ale potrzebny, — z niego się też coś po ugorze urodzić musi — ale wam nie zaszkodzi odetchnąć świeższém powietrzem innego świata.... Tyś biedny.

Starzec pomilczał.

— I pan jesteś smutny! przerwał Beppo.

— Ja? może — ale nie za swoje trapię się grzechy — dodał Tatko — patrzę na tę małą kupkę naszej braci chwilowo tu zebraną na obcej ziemi, w tym grodzie, któryby miłością natchnąć powinien... i gryzę się tém że tu — jak wszędzie, my rozproszeni, ścigani, oplwani, sami z sobą, tylko się jeść i nienawidzieć umiemy.

— A! czyż co nowego zaszło?— zapytał malarz strwożony....

— Nie — rozwija się wszystko wedle praw i przewidzeń smutnych.... Miłości i przyjaźnie nasze fermentują na octy i żółcie. Ty już nie bywasz u hrabinej, dla tego żeś się nadto kochał w jej córce. Hr. Roman, pan Mieczysław i Staś chodzą niemówiąc do siebie — pani Eliza gniewa się na poetę, którego zdradziła i zawiodła... do mnie mało kto chce mówić... a hrabianka Dorota i ojciec jej duchowny nie znajdują z nas nikogo godnym nawet czyśca, wszystkich hurtem osądzili do piekieł.... Teraz w dodatku przybywa nam głupie chłopię, ten twój Wacek, który jak ćma na świecę poleciał na czarne oczy pani Elizy... i — opali skrzydła.

Beppo się uśmiechnął.

— Mnie się zdaje, rzekł, że temu się nic nie stanie — skrzydła ma twarde... a serce troistą opasane zbroją.

— Jak u Horacjusza, odparł starzec... ależ młody.

— To go ratuje — nic nie bierze na serjo... kocha dla zabawy, kłóci się niemając co robić, a pracuje z nudy....

— Cóż się z nim stało? bo tu już jego tłumoczków nie widzę? zapytał Tatko.

— Przed chwilą mnie opuścił — okazało się — okazało się — szepnął oczy spuszczając Beppo — że mu tu było niewygodnie.

— A! a! mruknął starzec....

A po chwili namysłu dodał:

— Wiesz co, mój Beppo... jabym ci miał jednę propozycję do uczynienia. Dałem ci myśl do obrazu, mam słabość do mojej idei — ty nie możesz przedsiębrać dzieła tak wielkiego, nie będąc pewien co z niem uczynisz... Otóż — przemyślałem nad tém właśnie, a że sam nie jestem w stanie opłacić ci pracy takich rozmiarów, znalazłem kogoś — mojego przyjaciela... który zamawia tę „Polskę,“ prosi abyś cenę oznaczył — i — i — domówił Tatko, da kilkaset skudów zadatku...

— Jak to? zawołał zdumiony malarz, jest w Polsce, dziś, w tej Polsce wyżyłowanej męczeństwem, wycieńczonej, zobojętniałej, zimnej jak trup — jeden człowiek co sztukę kocha i coś dla niej chciałby poświęcić? Jest ktoś coby takie płótno powiesił, aby mu łzy cisnęło i budziło go miłością ojczyzny do trudu dla ojczyzny?

— Stój, rzekł Tatko wzdychając — stój — mówiłem, żem ci znalazł na obraz nabywcę — alem nie określał człowieka i nie pytaj mnie o wizerunek jego.

— Jak to? oddając moje dziecię w czyjeś ręce, nie miałbyś się potroszczyć o los jego? Mówcie mi prawdę.

— Dajcie mi słowo, że obraz malować będziecie... rzekł stary — bądź co bądź. Beppo się wahał.

— Maluj obraz dla idei i dla Polski — kończył stary — powinieneś! A teraz powiem ci, że nabywca przyszły idealnym nie jest. Sztuki on nie rozumie wiele, ojczyznę kocha po swojemu, dla tego może, iż ojcowie jego za mało ją kochali — ale ma pałace, ściany i fantazje pańskie. Chce, by czasem powiedziano i napisano, że sztukę rodzimą podtrzymuje, że pieniędzy używa na cele wyższe, że nie zawsze je, pije i gra na bursie. Obraz będzie miał pomieszczenie piękne, zachowa się dla potomności, a ponieważ udało mi się wyrobić że go kupuje ów mecenas, będzie nawet dobrze zapłaconym.... O cóż idzie!

— A! ojcze! o to idzie co ty światu apostołujesz daremnie! o miłoś命! Na zimnej on zawiśnie ścianie... i zimne oczy spojrzą nań szydersko....

— Cicho — cicho! szepnął Tatko — idzie o to by dzieło istniało i zostało zrealizowane, to są rodzicielskie kaprysy ojca rozmiłowanego w dziecięciu, co się jeszcze nie narodziło. — Obraz zapłacony grubo będzie szanowany, a gdziekolwiek zawiśnie myśl swoją poniesie z sobą i on ją apostołować będzie. Zatém weź trzysta skudów zadatku, które ci jutro dam i nie kapryś.

Ale — rzekł wstając staruszek — daj mi słowo wprzódy.

— Jakie? na co? zapytał Beppo.

— Że Wacek twój ci pieniędzy nie wyssie; psujesz go, rozleniwieje do reszty. — Tobie ten grosz potrzebny jest, abyś swobodnie mógł pracować. Tu niema wzorów, za daleko jesteś od kraju.... Rzym już dla ciebie — niezdrowy.... Jedź do Mnichowa, zamknij się... i twórz arcydzieło.

Pojedziesz? zapytał.

— Nie wiem... potrzebuję namysłu.

— Jedź — mówię ci — jedź, ale ponieważ po ludzku rzeczy trzeba obmyśleć... dam ci w imieniu nabywcy umowę i zapewnię częściowe wypłaty na rachunek obrazu aż do jego ukończenia, boć ja umrzeć mogę.

— A ja? spytał Beppo.

— Ty nie możesz i nie powinieneś — rzekł stary — dla ciebie zawcześnie, przechodzisz kryzys, po której człek twardnieje, zagotowuje się jak garnek i trwa....

— Jeśli zagotowując się nie pęknie.

— Tak, ale tobie pęknąć nie wolno... egoistyczne uczucie nie jest ciebie godném. Jeśli p. Celina będzie szczęśliwą, dla czegóż ty masz być nieszczęśliwym, — żeś nie sam ją uszczęśliwił?

E sempre bene!

Podał mu rękę stary.

— Rzecz więc skończona — rzekł — obraz zamówiony, pal się do idei.... Umieść w nim twój ideał jako Wandę lub Jadwigę, nie przeczę... opromień ją, wybeatryzuj... wolno — ale nie umieraj dla tego żeś małżeńskiej na skronie szlafmycy nie włożył — byłoby to strasznie maluczkiem i biedném.... Ja wierzę, że stworzysz arcydzieło. — Wielkie smutki duszne są płodne... ale jak skwary egipskie tylko ziemię żyzną a soków pełną okrywają palmami i kłosami, — pustynię palą i niszczą. Nie bądź pustynią, bądź oazą — niech ci boleść wystrzeli kwiatem i owocem... niech cię nie wygorze na popiół....

Błogosławię cię i dzieło twoje... Bóg z tobą!!

To mówiąc starzec wyszedł... na duszy Beppa zrobiło się lżej i spojrzał weseléj....

— Stworzę arcydzieło — rzekł — a potém umrę....

I był znowu wieczór ozłocony takiemi pomarańczowemi promieniami słońca... a niebo czyste, jasne... jak wielka

bania lazurowa roztaczało się po nad ziemią... rzekłbyś że w niém powietrze stężało i zeszkliło się.... Na tle tém przezroczystém wszystkie przedmioty ostro odcięte rysowały się z tą wyrazistością, która południowym i wschodu krajobrazom tak odrębny nadaje charakter. — Cisza wieczora coś martwego wlewała w linije te nielitościwie czyste, poodcinane, rysujące się do zbytku wyraźnie aż do najgłębszych planów obrazu.... Całość nie zlewała się w tę mglistą jednią północy, która skupia i łączy przedmioty — każde drzewo, dom, mur, kamień, aż do pasm gór na horyzoncie, stały odrębnie, osierocono, przy sobie, nie z sobą i jakby pokłócone na wieki. Nielitościwa jasność linij i kontrasty kolorytu czyniły smutnym widok z Appijskiej drogi na oddaloną rotondę Cecylij Metelli, rozwalone mury zameczku średniowiecznego, ogrodzenia sadów pełnych ciemnej zieleni i wyskakujące z nich słupy bram z wazonami na głowach.... Gdzieniegdzie z pośrodka kłębiących się krzewów, wystawała jakby wyrywając się z niewoli pinja z parasolem gałęzi i czarny cyprys jakby wykuty z marmuru, z którego zbitych gałęzi wyglądały wnętrzności pnia białawego poplątane dziwacznie i potrzaskane ze starości.

Przed chatą dziwacznie usadowioną na kupie ogromnej gruzów jakiegoś grobowca zamienionego w jedną cegieł bryłę — wśród opadłych z niej gzemsów i żółtych głazów... siedział sam jeden Stanisław... patrzał na rękach podparty... myślał czy płakał, trudno poznać było....

Wrócił na tę grobową drogę Appijską, jakby na stanowisko dawne żywota, z którego zszedł, którego żałował i od którego na nowo chciał rozpocząć pielgrzymkę. — W duszy jego była niewysłowiona ciemność, owe pierwsze najstraszniejsze zaćmienie — z którém w młodości tak duszno!

Serce jego rzuciło się całe, uwierzyło, kochało, rozradowało, ozłociło... i zawiodło i zdawało się pękać z boleści. Ta niewiasta, która dlań była obrazem Bożym na ziemi, ta męczennica niezrozumiana, nieszczęśliwa, błagająca uczucia... żądna czystej miłości aniołów... okazała się ładną lalką bez serca, bez myśli, bez czucia i bez szlachetności.

Jeśli ona była taką — jakaż już mogła być lepszą? — A więc cały Boży świat stawał się niezrozumiały, niepojęty, bezserdeczny — pełen fałszu, bawiący się w igraszki uczuciowe... nic więcej.

Jedna kobieta... była niczém — ale w niej dlań świat cały istniał — odczarowanie dla niej, odczarowywało dla świata. — Nie było po co żyć — tęsknice wiekuiste wracały. Ale tą razą wracały spotęgowane zawodem; w pierwszych była jeszcze kropla nadziei, w tej na dnie żółć i męty.

Stanisław nie rychło poddał się odczarowaniu, — łuska z oczów spadała powoli.... Eliza po pierwszych wymówkach i gniewie była mu droższą jeszcze... ale w kilka dni to co wywołało pierwsze nieporozumienie powtórzyło się śmielej, zuchwalej, wyzywająco.

Pod pozorem lekcij Wacek siedział całe dnie, całe wieczory, a raz wchodzący Staś ujrzał go zdala w zwierciedle klęczącym przed ideałem i spuszczone jego rączki okrywającym pocałunkami.... Nim osłupiały zdołał dobiedz,... spłoszona para się rozłączyła, a co gorzej, artysta zniknął w głębi pokojów i sama pani wyszła doń tylko z bolem głowy....

Staś się powstrzymał od wybuchu — spójrzał. Spokojniuteńka, niewinna pani domu utrzymywała że wstaje od czytania i że była samą jedną. Kłamstwo to zabolało go — zmilczał. Ale nie położył kapelusza, nie usiadł, blady obejrzał się w koło, nie rzekł słowa i jak dobrze wychowany człowiek, pożegnał tylko panią Elizę.

Nie chciała go puścić.

— Ale cóż znowu za dziwactwa? spytała — przychodzisz — odchodzisz? — dąsasz się, męczysz mnie.... Widzisz że jestem chora....

— Nie chcę być natrętnym....

— Tak, boś ostygł, boś zobojętniał dla mnie....

— Pani, rzekł po namyśle, hamując się Stanisław — nie ja to ostygłem i zobojętniałem, mam jedno z tych serc, co nawet łzami zalane gorieją.

— Więc znowu scena zazdrości i znowu głupie te podejrzenie o Wacka, który mnie bawi swemi dziecińśtwy?

— Nie — nie — żadnej sceny więcej, dodał kłaniając się Staś — tylko pożegnanie.... Być bardzo może iż wyjadę z Rzymu.

— A! zawołała Eliza, której się zrobiło nagle żal człowieka przed chwilą natrętnego — rzuć-że te dąsy, proszę... pojedziemy razem.

Stanisław spojrzał na nią z politowaniem, zarumieniła się mocno oglądając się, oczy jej padły na zwierciadło zdradliwe i z przenikliwością kobiecą odgadła... wszystko....

— Ja ci przysięgam że jestem niewinną — krzyknęła nagle przerażona... rzucając się ku niemu....

— Ale ja panią nie obwiniam o nic! rzekł z wymuszoną spokojnością Stanisław — nie mam do tego żadnego prawa.

Ukłonił się i wyszedł spokojnie. — I, jak w Rękawiczce Schillera — już więcej nie wrócił. Nie powiedział nikomu słowa, nie poskarżył się, nie jęknął... dwadzieścia cztery godzin siedział zamknięty o głodzie, obudził się z gorączką, przechorował i wyszedł na świat jak cień, jak trup.

Chociaż cała ta scena okryta była tajemnicą, choroba Stanisława i to że bywać zaprzestał nagle u p. Elizy, obudziły plotki i podejrzenia. Hrabianka Dorota wśród dwu nowenn obgadywała panią Elizę ze złośliwością duszy pobożnej, — towarzystwo całe oburzało się. Położenie Wacka dotąd nadzwyczaj szczęśliwe i miłe, zmieniło się wielce. Pani Eliza nie mogła mu darować — swojej własnej winy.... Chłopak, choć bardzo szczęśliwy, na pierwsze kwaśne słowo wybuchnął... pokłócili się śmiertelnie, nastąpiło wygnanie z raju, potém z jakiegoś strachu przywołanie... a dalej ciemności i tajemnice.

To pewna, że Wacek sprawił sobie nowe aksamitne ubranie i złoty pierścień do przesuwania krawaty. Malował jakąś Włoszkę i najął studjum.

Stanisław po chorobie oddzielił się od towarzystwa i ludzi, naprróżno go zapraszano do hrabinej, potrzebował samotności. Szczęściem wiedziano gdzie go szukać — i dawszy mu odboleć — panna Celina namówiła mamę na przechadzkę po tej prześlicznej drodze appijskiej.

Ale tu Stasia nie było... siedział tak dobrze ukryty, że go te panie minęły, a on ich nie postrzegł....

I wieczór mrokiem okrywał kampaniję a cieniami gmachów Rzym... gdy nareście Staś wstał z kamieni. O trzy kroki od niego wracały te panie od Cecylij Metelli.

— A! co za spotkanie szczęśliwe — zawołała hrabina sama, która bądź co bądź dla którejkolwiek z córek pragnęła pozyskać pana Stanisława — chociaż poetę....

Staś kłaniał się milczący, zamyślony, nieprzytomny, jak człowiek znagła ze snu zbudzony.

— Panu zawsze ulubiona ta grobowa droga, odezwała się Cecylja.

— Ale ja sądzę, że od tego wypadku — dodała matka, powinienbyś się pan nie narażać na wieczorne powietrze i więcej się oszczędzać.

— O! ja jestem zupełnie zdrów — rzekł Stanisław machinalnie stając przy pannie Cecylij i podając jej rękę — mnie nic nie szkodzi.

Hrabina i Fanny rzuciwszy słów kilka ku ogólnej rozmowie, poszły nieco przodem, Staś ociągając się został sam z uszczęśliwioną Cesią.

— Pan jesteś dziwnie smutny — odezwała się po chwili towarzyszka.

— Z natury byłem takim od dzieciństwa, odpowiedział poeta. Myliłby się ktoby to przypisywał wpływowi chwilowemu. Radość, wesele, śmiech rażą mnie, zniechęcają ku tym, którzy je okazują — nie pojmuję wśród tej ziemi i życia tak smutnych i zagadkowych, nawet jednego usprawiedliwionego uśmiechu — prócz gorzkiej ironij. — Ludzie weseli nie widzą dalej nad — dziś.

— Ale czy wpatrywanie się w jutro zakryte jest zdrowém? spytała Cesia. — Jutro Boże, dziś tylko nasze.

— Tak, w naturze jednak ducha i człowieka — odezwał się Staś — jest wdzieranie się w przyszłość Zwierzęta nie mają jej — czasem instynkt je jakiś przeraża, przeczucie niepokoi, ale w ogóle swobodne są, bo nie widzą nic nad chwilę teraźniejszą. — My stworzeni na obraz Boży, odziedzi-

czyliśmy z duchem pragnienie widzenia przyszłości. . . . Smutne dziedzictwo, które tylko wiara głęboka ukoić może. . . . . Wszystkie umysły potężniejsze są poważne i tęsknoty pełne.

— A! tak! odpowiedziała Cesia — i ta tęsknota ma swój urok także. . . .

Szli tak rozmawiając, Staś pogrążony był w sobie, niekiedy zrywał się do dłuższego wykrzyku, potém milczał uparcie i zdawał się nie słyszeć nic, nic nie widzieć. — Cesia nie mogła nim owładnąć i sama wreście posmutniała, czując jak jej był obcym. Tak przeszli część drogi pieszo. Hrabina zaprosiła do siebie, Stanisław milcząco przyjął zaproszenie.

Ale tu — przybywszy siadł na podaném krześle i osłupiały pozostał . . . przerażając kobiety tym stanem chorobliwym, z którego napróżno go wywieść chciano. Machinalnie przewracał książki leżące na stole, potém zapatrywał się w ścianę, wzdychał, a zarzucony pytaniami, odpowiadał półsłowy lub zdawał się nie rozumieć i nie słyszeć.

Trwało to dosyć długo, hrabina zaczynała się niepokoić, Cesia miała łzy na oczach, Stanisław siedział ciągle. Przyjął herbatę, której skosztował, otworzył książkę i jakby nie wiedział nawet gdzie się znajduje . . . siedział wzdychając a milcząc. Niekiedy wstawał z krzesła, przechadzał się gwałtownie nie mówiąc nic do nikogo i siadał znowu zamyślony. Strach poczynał ogarniać te panie, które nieledwie posądzały go o obłąkanie.

Hrabina wyprowadziła Cesię do drugiego pokoju.

— Ty masz trochę więcej łaski u niego, przemów-że, opamiętaj go, on zupełnie jest nieprzytomny . . . ja się zaczynam lękać — to wygląda na obłąkanie; możeby posłać po którego z przyjaciół, ze znajomych. — To stan nienaturalny.

Ze łzami w oczach ale mocném postanowieniem przerwania w jakikolwiekbądź sposób tej kryzys . . . panna Celina weszła i stanęła przed nim.

— Pan jesteś chory — zapytała ośmielając się — co panu jest?

— Mnie? nic! ale nic. . . .

Podniósł głowę, potarł czoło. . . .

— Gdzie to my jesteśmy? zapytał.

— Więc pan nie wiesz nawet, że jesteś u nas i że od godziny przestraszasz nas milczeniem ponurém?

— A! przepraszam — rzekł budząc się i wstając Stanisław — przepraszam — sam to czuję, jestem nieznośny . . . potrzeba odejść? nieprawdaż. . . .

— Nie, zostań pan — zawołała Celina, ale staraj się owładnąć sobą i smutkiem. . . .

Staś się uśmiechnął.

— Pani jesteś bardzo, bardzo łaskawą dla mnie . . . a ja rzeczywiście nieznośny . . . to prawda! nie władnę sobą . . . a więc pani władaj mną. Co mam robić?

— Możeby pana rozerwała muzyka? spytała przystępując Fanny.

— Tak jest . . . . muzyka! a! proszę, niech pani gra . . . coś poważnego! bardzo dobrze! Siedm słów Haydena . . . najszczytniejszy poemat jaki kiedy stworzył człowiek!

— Siedm słów? spytała Fanny — a! ja tego na nieszczęście nie umiem . . . i nie mam. Chcesz pan ballady Chopina . . . czy nokturnu?

— Tak — dobrze, Chopina — Chopin był muzykiem tęsknoty . . . zrozumiem go, — ale tęsknota jego ziemska — a ja mam w duszy niebieską.

Fanny zagryzła usta i ruszyła ramionami, poszła do fortepianu . . . pomyślała . . . sam jej pod palce przyszedł mazurek Chopina, tak świeżo zerwany z pola jak bławatek co rozkwitł rano . . . niby śpiewek pastuszy. — Staś przy fortepianie stanął, łzy mu się brylantowały na powiekach. . . . Powoli obmyte niemi oczy zaświeciły przytomniej, potarł czoło, uśmiechnął się smutnie. Celina i matka patrzały nań z przestrachem. Widocznie kryzys przechodziła.

Hrabina jednak przed chwilą z obawy o poetę posłała z kilką słowy po hrabiego Romana w pomoc; a teraz gdy w przedpokoju coś zaszeleściało, wybiegła spodziewając się jego przyjścia.

— A! mój drogi hrabio! zawołała składając ręce — wybaw nas! Na drodze, na Appia schwycilyśmy Stanisława jakby obłąkanego, jest tu z nami, ale prawie nieprzytomny, słowa od niego dopytać nie było można — obawiałam się jakiego wyskoku! On nie jest przy swoich zmysłach!

— A! nie ma się co lękać! to dziwak i marzyciel, to istota sercowa, najniepraktyczniejszy z ludzi . . . widziałem go nieraz w tym stanie, to mu odejdzie. Przytém łagodny jak baranek. . . .

— Ale, zlituj się — jeśli zwarjuje! zawołała przerażona hrabina — ja się warjatów niesłychanie boję — a to warjat z miłości. Coż mu ona zrobiła? zdradziła go? Ale to śmieszny człowiek . . . chciał żeby kobieta, co dla niego zdradziła męża . . . i . . . ale cicho!! cicho . . . Cesia idzie!

W istocie p. Celina weszła, zostawując Stanisława zadumanego nad mazurkiem przy fortepianie.

— A! panie ratuj! pan Stanisław jest w takim stanie okropnym. . . .

Z uśmiechem spojrzał na nią Roman.

— Dla czego pani go tak bardzo żałuje? — spytał szydersko.

— Bo politowania jest godnym — sucho odpowiedziała Celina. . . . Chodźmy do niego. . . .

Już wchodzili do salonu, gdy w progu przedpokoju ukazał się Tatko, któremu po drodze szepnął coś hr. Roman o tém, aby ciężar poety nie cały spadł na jego ramiona. — Tatko przychodził jako lekarz domowy z błogim swym uśmiechem na ustach. Wszyscy od progu zwrócili się ku niemu, jak do zbawcy. Hrabina powtórzyła, że się warjatow niezmiernie lęka, że pan Stanisław był jakby obłąkany, — że trzeba go rozerwać, pilnować. . . .

— Bo to proszę pana kochanego, dodała naiwnie, mało który z tych poetów nie kończy na fiksacji . . . sama poezja już, proszę pana — *je vous donne ma parole*, jest rodzajem lekkiego obłąkania. Ci ludzie nigdy po ziemi nie chodzą, zawsze w obłokach — z niemi potrzeba być ostrożnie, najmniejsza rzecz i równowaga stracona.

Tatko wysłuchawszy wszystkiego spokojnie, wszedł.

— Bądźcie państwo pewni, rzekł, że ja go skutecznie wyleczę. . . .

Jeszcze brzmiał mazurek Chopina a Staś ze łzawemi słuchał go oczyma, gdy stary zbliżywszy się doń ścisnął jego rękę. Poeta się obejrzał milczący.

— Jak to brzmi serdecznie dla nas, rzekł powoli Tatko, podsuwając się ku niemu. Prosta piosenka wieśniacza — ale do niej poczepiane lecą wspomnienia kraju . . . i ona wszystko wypowiada niechcący. . . . Śliczny ten tęskny mazurek Chopina. . . . Śpiewał go lud przed chrztem Mieczysława, na pobojowiskach Bolesławowskich, patrząc na przeciągające hufce zwycięzkie w żelaza okute . . . przeżył wieki, pokolenia, tysiące młodości, miłości tysiące a taki świeży i rzewny. Czuć że go nie stworzył człowiek ale naród, a Chopin podsłuchał co lasy gwarzyły echem odwieczném. Śliczny mazurek . . . jak piękna ta Polska nasza?

A po przestanku dodał Tatko.

— Tyś chory Stasiu? ja myślę że tobie tęskno za krajem? nie prawdaż? uciekłeś żeby nie widzieć męczeństwa, a teraz ci do łez i niedoli serce się wyrywa. . . .

I — słuchaj no — ten Rzym to katakumba, w której żyć nam nie zdrowo. . . . Pomodlić się w nim trzeba raz i uciekać. Sami nie wiemy, jak tu tęskniemy boleśnie i jak się tu pod wpływem powietrza przerabiamy na dziwne istoty. — Czujemy tylko, że nam źle. — Tyś chory Stasiu?

— Ja? odpowiedział poeta — a! nie wiem.

— Tak! ty nie wiesz, ale to widać na tobie. — Nam zdrowo żyć tylko tam, gdzie brzmi nuta swoja i powietrze, które piersi chwytać nawykły od dzieciństwa. — Ty byś w kraju wyzdrowiał. . . . Z nas każdy zwichnie się długą tułaczką. . . . Rodzą się uczucia, pragnienia, myśli niedobre.

— A! ale te Włochy i ten Rzym tak są cudne.

— Przypomnij owo widzenie senne Dantego w Czyścu. . . . Są piękności, na które patrzeć nie każde oko ma siłę . . . w słońce orły tylko mogą spojrzeć, w Rzym ci, co wzlecieli nad ziemię.

Słabsi ślepną.

— Tak, jam za słaby może! szepnął Staś wzdychając.

— Za młody — rzekł Tatko.

W tej chwili już widać było że Staś oprzytomniał, twarz mu zbladła, oko przygasło.

— Gdybyśmy się przeszli? zapytał stary... poprowadziłbym cię na powietrze i pomówilibyśmy o wielu zajmujących rzeczach, o których tu ja mówić nie chcę. — Wierz mi — ta rozmowa ci nie zaszkodzi?

— Nie zaszkodzi ale i nie pomoże, odpowiedział Staś, biorąc zwolna za kapelusz — ja uprzedzam, że nic mówić nie będę — słuchać, mogę — nie jestem usposobiony do innej rozmowy, prócz z sobą samym.

— Nagadasz się jeszcze dowoli z tym przyjacielem, zawołał Tatko — nie żegnajmy się, wyjdziemy po angielsku.

— Nie — po polsku — to lepiej, uśmiechając się rzekł Staś, pocałuję te panie w ręce wszystkie w rząd... i pójdziemy....

Oświadczenie to było tak pocieszającém, że stary polskiej ceremonij pożegnalnej się nie sprzeciwił. Staś podszedł do hrabinej i gdy się najmniej spodziewała pocałował ją w rękę, potém Fanny, naostatek przyszła kolej na Cesię, która — nie wiem może ze łzą przychowała się była w drugim pokoju, ale widząc że Staś zabiera się odejść, we mroku zjawiła się w cieniu.

Poeta podszedł ku niej.

W chwili, gdy ją brał za rękę, aby pocałować, wstrzymała go lekkiem ściśnieniem dłoni.

— Odchodzisz pan? odezwała się głosem wzruszonym — a! jakeś pan nas swoją zadumą i smutkiem nastraszył. Wierz mi pan, my — ja... my panu tak dobrze, tak szczérze z serca życzemy.... Czemuż pan niemasz siły, gdy ból tak piersi uciśnie, wyspowiadać się, wyrzucić z siebie cierpienie i spróbować choćby czy oddźwięk sympatyczny ulgi nie przyniesie!...

Staś spuszczone oczy wzniósł powoli na nią, uśmiechnął się smutnie.

— Pani droga — ja wierzę w wasze dobre dla mnie serce, w litość i współczucie, ale są rany niezgojone i nieuleczone choroby, do których się dotykać nie wolno... aby nie zarazić się niemi. Mnie, niestety — nic nie pomoże, a mój smutek niedorzeczny rzuciłby cień na wasze młode wesele....

— Wierz pan, wierz, dodała żywo Cesia, że z panem i ból by mi... nam... podzielić było miłém....

— Pani jesteś za nadto dobrą dla człowieka, który tego doprawdy nie wart....

To mówiąc uścisnął jej rękę, przyłożył ją do ust, chciał odejść.

— Przyjdź pan do nas... ja proszę... szepnęła.

Poeta zmilczał. — Tatko kijem stukał czekając, trzeba było wychodzić, powoli zsunęli się z ciemnych wschodów w ulicę....

— Dokąd pójdziemy? spytał Tatko.

— Na Forum... na Forum....

— Dobrze, dokąd chcesz... to mi jedno — ale mówmy o tobie, otrząśnij się z tej zadumy ponurej. Wiesz — mówił stary ująwszy go pod rękę, na prawdę przestraszyłeś kobiety swoją jakąś niemą rozpaczą.... Cóż znowu? miałoby cię tak zaboleć, że cię jedna zalotnica rzuciła?

— Że mnie rzuciła! zawołał Staś — a! nie, że siebie w mych oczach spodliła, że w sobie ideał, którym była dla mnie skalała... i odebrała mi wiarę....

— W co? zapytał stary.

— W serce! w kobietę! we wszystko.

— Ależ bo też szczególną sobie wybrałeś istotę do ubóstwienia, panie Stanisławie.

— Uroczą, cudowną....

— Nie postrzegłżeś, że urok i cuda były pożyczane i że ty tylko widziałeś je, gdy drudzy czytali artystyczną rolę — i zdala się trzymali, aby złudzenia nie stracić? Co ona winna? — Tyś winien!

— Ja?

— Żeś wierzył, żeś w prochu szukał djamentów, dla tego iż na chwilę słońce świeciło.... Nie mówmy o tém, każdy z nas przeszedł przez podobne doświadczenia i odczarowania.... Aleś ty przecie poeta! w tobie jest iskra płonąca nie dla tego byś przy niej smażył pieczyste... lecz byś nią świecił twemu światu — Polsce. Polska męczeńska, Polska wyśmiana, Polska wyrzutek narodów, sierota w łachmanach oplwanych... czeka od ciebie spłacenia długu świętego. Jenjusz czy talent ona ci go dała, jej tchem on urósł i zmężniał; jej winieneś wejrzenie na świat inne niż mają narody szczęśliwe, jej winieneś szlachetną twą egzaltacją, wszystko co się nad tłum podnosi.... Powiedz mi coś zrobił dla niej?

— Nic — to prawda — rzekł Staś, ale cóż ja zrobić dla niej mogę?

— Świadczyć o jej duchu nieśmiertelnym, którego iskra w tobie mieszka....

Patrz, jakich dożyliśmy czasów... czy się dziadowie, czy ojcowie nasi spodziewać się ich kiedy mogli?... Własne dzieci wychodzą na kazalnice odziani sukniami kapłańskiemi wywoływać, że matka umarła i nie wstanie nigdy; szydziemy z patrjotyzmów, z polakerij i świętym cieniom ojców plwamy w oczy... sarkazmami... a ty pytasz co dziś robić i co dla niej uczynić można. A! tylko świadczyć że ona macierz nasza, choć w sercach naszych nie zginęła.... Choćby ją śpiewać, choćby jej cześć szczepić, choćby protestować słowem i czynem, że ona dla nas żyje i że zabójców swych przetrwa.

Stanisław wyprostował się słuchając jak żołnierz, który spotyka wodza, oczy mu błysły.

— Ty się pytasz, co dla Polski uczynić można? być Polakiem to dosyć, ale być nim w najświętszém słowa tego znaczeniu... podnieść się do ideału.... A potém... tyś poeta... tyś śpiewak... małoż masz do wyśpiewania z przeszłości, z teraźniejszości, z mogiły i kolebki?...

Ja na twém miejscu... całą siłę ducha poświęciłbym ojczyźnie... cały talent.... My potrzebujemy aby nas strumień żywej poezji obmył z zadawanych nam czernideł... aby pieśń wieszcza odtworzyła Polskę jaką była... jasno widzeniem....

To co zostało z przeszłości, z czego my dziś sądziemy o niej, cóż to jeśli nie połamane drzazgi skeletu?... Życie ze swemi tajemnicami niezapisanemi nigdzie uciekło w niebiosa... tam, tylko jenjusz ulecieć może, by je pochwycić.

A potém — domówił stary — wiesz co więcej jest do uczynienia... to co monoman stary, ja — powtarzam bez ustanku.... Ze słowa wielkiego — Kochajmy się! — uczynić prawdę zasadniczą, narodową, przelać ją w serca, wpoić w umysły.... Chrystusową miłość napisać na chorągwi i z nią iść apostołować polskiemu światu jedność i zgodę... zapomnienie uraz, ukojenie miłości własnych — odrodzenie przez miłość! odrodzenie przez cnotę....

Zamilkł.... Stanisławowi łzy się w oczach kręciły, szukał rąk starca, aby je ucałować.

— Masz słuszność ojcze... mówisz dobrze... jest wiele do uczynienia.... Poemata gotowe walają się po gościńcach, a wśród narodu krzesła kurulskie wodzów ducha stoją niezajęte!

— A my tym czasem swawolemy z zalotnicami! rzekł stary....

— Cicho! nie mów tego jeszcze — przerwał Stanisław. — Nie mów tego. Gdybyś ty ją, jak ja był widział po raz pierwszy w grocie Syren, gdybyś się wpatrzył w jej oczy... gdyby ci do ucha szemrał słodyczy pełen głos ten dźwięczący jak melodja Serafinów... gdybyś...

— Gdybym ją zobaczył w grocie Syren, rozśmiał się Tatko, widziałbym w tém przestrogę Opatrzności... i cofnąłbym się od brzegu przepaści, aby mi się nie zawróciła od niej głowa. Kto nie chce być pijanym, ten kielich odtrąca.

— A nie czułżeś nigdy pragnienia? zawołał Staś.

— Nieraz w życiu, tylkom sobie rzekł, że je zwyciężę i nie tknąłem zatrutego puharu....

Posłuchaj mnie — masz w sobie siły, postaw przed sobą zadanie wielkie, zasnuj pieśń olbrzymią, obudź natchnienie choćby boleścią... a zmaleje ci egoistyczna rozpacz.

Tyś żyś powinien — dla Polski...

— A więc mów... co mam zrobić? co? ja jestem bezsilny....

— Wyjechać, co najprędzej wyjechać! zawołał starzec. — Jutro, przyjdzie jej fantazja wmówić ci, żeś był wiźjonerem,

być czułą znowu i spętać cię i złamać i ostrzydz cię jak Dalila z uczuć szlachetnych dla nieszlachetnych miłosnych nadziei.... Powiedz — *Vade retro Satanas!*... i uciekaj.

W chwili gdy to mówili, przez Forum przeciągnęły wracające gdzieś z okolicy dwie wetury wesołe. — W jednej z nich królowała pani Eliza, mając obok siebie pięknego margrabię włoskiego, a naprzeciw siebie Wacka i Rosjanina rzeźbiarza, który popiersie jej modelował... w drugim jechał Ukrainiec i trzech wesołych mężczyzn należących do dworu zwodzicielki. Z tych wszystkich ostatni zdziwił najwięcej Tatka i Stasia, bo nie należał do wielbicieli p. Elizy, bo jej nie lubił — ale czekając na Cesię nudził się, nie było z kim grać wista, czarownica mu się parę razy uśmiechnęła... i dał się spokusić....

Stanęli w cieniu tak, że ich przejeżdżający nie dostrzegli....

— Patrz na to życie — dodał Tatko — i posypmy głowę popiołem.... Sąż to dzieci tej nieszczęśliwej Polski mordowanej i zapartej? powiedziałżebyś że do rodziny wielkiej należą? Noszą na sobie znamiona szczęścia i wesela, aby świadczyli, że polska lekkomyślność i wady co nas zabiły — nie umarły? Nie wstydże ci tych ludzi, i tego życia, co się naśmiewa z bolu a grosz sierocy trwoni na wkupienie się do nienawistnej nam rzeszy? I ty — ty poeta... ty Polak... ty szlachetniejszém namaszczony uczuciem... pójdziesz z niemi wplątany w to koło wirujące tańcem rozpustnym, gdy matka kona?

Wierz mi Stasiu, tych słów jabym się nie ważył powiedzieć głośno, wyśmianoby mnie za moją polakerją, ale ja wierzę w ciebie i tobie to mówię, bo poczujesz w słowie i głosie moim, że nie czczy rzucam ci dźwięk do ucha, — ale jęk ze skrwawionej piersi dobyty.

Chodź ze mną — uzbrój się w odwagę... upakujemy twoje tłumoczki... w świat! w świat! ku swoim! do pracy, — a niezdrowe amory zostaw tym znoskom, z których nigdy ani potrawy, ani kurczęcia nie będzie.

Nie ma rzeczy przeciwniejszej wielkiej miłości, którą ja apostołuję, nad małą miłość taką, co święte uczucie wystrzyga na drobne kawałki, na istną zabawkę dziecinną.

Żywym krokiem poczęli iść w miasto. Staś nie odpowiedział, był przejęty — a jednak jeszcze nie uleczony.

— Słuchaj ojcze... dobrze, rzekł w końcu — jadę, słowo ci daję — rzucam Rzym i chorobliwe moje szały, wyrzekam się ich... ale pozwól — a! nie śmiej się ze mnie — raz tylko zjawię się jak cień Banka przy ich wesołej zabawie z ironią szatańską na ustach... tylko na chwilę.

Tatko wlepił weń oczy. — A wiesz co to znaczy? rzekł. — To znaczy, że jeszcze do ludzi i uczucia, które zawiodły, przywiązujesz wagę, że pragniesz zemsty, że myślisz iż na płochych tych sercach, które jak wody lada wiatr marszczy i wygładza — twoja ironja i oburzenie wrażenie sprawi trwałe.

Więc ich cenisz zanadto.... Sąż godni, abyś im ironią gorzką rzucał w oczy, od których się ona jak studencka piłka od muru odbije?

Wierzę, iż ta zemsta zrobi ci chwilową przyjemność... ale nie ręczę, czy niedogasłego nie rozetli płomienia. — Idź, jeśli chcesz, ja na ciebie w twojej gospodzie czekać będę.

Stanisław się zawahał...

— Czekaj na mnie, bądź co bądź, daję słowo że powracam i wyjadę... ale dziś — muszę ich pożegnać!

Nieczekając odpowiedzi ścisnął rękę starego i poleciał.

Tatko opuścił głowę na piersi i powlókł się w miasto milczący.

Nie poszedł już do gospody Stasia aby tam czekać nań niego, ale do domu. Był znużony. Droga na Piazza di Spagna wiodła go po pod mieszkanie hrabinej, której balkon wystawał na małą uliczkę. W oknach blade światło za storami, w uliczce było pusto. W chwili, gdy mijał balkon, na którym nie widać było nikogo, cień jakiś przesunął się przed nim, zerwawszy nagle od przeciwległego muru.

Tatko zamiast uchodzić, jakiemś przeczuciem zbliżył się do spłoszonej postaci, która zrazu chciała uciec, potém stanęła jakby przelękła.

Bystry wzrok staruszka poznał i domyślił się Beppa.

— Czarny! co ty tu robisz! po nocy?!

— Przechodziłem.

— Jakto? stałeś pod murem jakby na czatach.

Tatko głową pokiwał.

— O! biedny niepoprawny! Cóż cię tu sprowadziło?...

Beppo zamilkł.

— Tak, odpowiedź niepotrzebna — dodał stary — ja wiém.... Chodźmy, powietrze tu dla ciebie nie zdrowe — tobie trzeba z obrazem jechać... aby go skończyć i nie myśleć tylko o nim....

Dał mu rękę.

— Odprowadź mnie do domu — albo jeśli chcesz, oba idźmy, kąpiel szyderstwa chłodną weźmy w Cafe Greco.... Jeszcze tam pełno być musi. Otrzeźwisz się widząc jak inni są trzeźwi a zimni.

Nie znam ludzi chłodniejszych nad tych młodych artystów, którzy zdają się żyć w swych dziełach poezją a dyszą tylko prozą.

Do Cafe Greco!

— Zgoda! mój ojcze... ale... nie śmiej się ze mnie.

— Póki życia! stałem i ja pod oknem nieraz — a stałem i pod takiém, w którym błyskało światło co mi się zdało lampą Hero... a było gromnicą przy trumnie....

W Café Greco zostali jeszcze pełno ludzi i rozmowę nader żywą... tylko nie o żadnej artystycznej kwestji. Roztrząsano umiejętnie piękności modelów, wdzięki transteweranek, krytykowano obrazy nieprzytomnych, zwłaszcza głośnych artystów, a wśród wrzawy odznaczali się śmiałością sądu ci, co najmniej mieli śmiałości w ręku i sztuce. — Wejście Beppa i Tatka, *Padre amoroso*, na chwilę przerwało wrzące rozprawy... poczęto się witać... Wacek w jasno lazurowym krawacie siedział rozparty przy stole, sparty na łokciu... rzucając słówkami kiedy niekiedy. Zobaczywszy ziomków, skinął ku nim.

— A ojcze i bracie! zawołał — zkąd idziecie tą ciemną nocą? nie wiecie nic?

— O czém? spytał Beppo.

— Ja właśnie przychodzę od pani Elizy... byłem tam świadkiem dramatycznej sceny i jeszcze po niej odejść nie mogę. Że bo też są ludzie, którzy bez tragicznego koturnu kroku stąpić nie mogą.

— O kimże mowa? rzekł stary — kto tragedją odegrał u pani Elizy...

— Tragedją! no! możem się za silnie wyraził — odparł Wacek... ale zawsze była to scena osobliwsza. Wystawcie sobie panowie, siedzieliśmy przy herbacie, najmilsze w świecie towarzystwo, gospodyni brylantowa, goście dobrani... Rosjanin, Włosi, Francuz, ja... Muzyka, zapach, rozmowa, w pełni kipiący życia wrzątek, w którym się człek kąpał z rozkoszą.

— We wrzątku? spytał Tatko — hę? w kipiącym?

— Ale tak — poprawił Wacek — są ludzie, co się kąpią w przerębli, są inni, co rozkoszują się we wrzątku..... Wśród tego harmonijnego chóru wesołości powszechnej, bez oznajmienia, nie oczekiwany w progu, zjawia się z szarym kapeluszem obwiedzionym krepą... i staje milczący, szydersko się nam przypatrując Stach poeta. Pani domu, w której się kochał zapamiętale, a którą zanudził śmiertelnie... pobladła widząc tego turbatora... wszyscy zamilkli, chłód nas obwiał. Pan Stanisław z ironicznym, sztańskim śmieszkiem postąpił krok ku gospodyni, która drżącą podawała mu rękę. Nie wziął jej, skłonił się tylko głową bardzo nizko, wskazanego krzesła nie przyjął, ręce w tył założył — stoi... patrzy. Wszyscy milczą... on także.

— Słyszałem z przedpokoju wesołe uśmiechy i rozmowę, rzekł w końcu Stanisław... miałżebym być tak nieznośnym natrętem... czy...

Gospodyni okazała małe zniecierpliwienie, rumieniec po bladości wystąpił jej na twarz.

— To mnie pociesza — rzekł Staś, że ostatni podobno raz pani przerywam miłą zabawę...

— Ostatni? podchwyciła pani Eliza, z pewnym wyrazem jakby grzecznością tłumionej pociechy — ostatni?

— Tak jest — bom przyszedł panią pożegnać!

I znowu owém przesadném skłonienieniem głowy zdawał się illustrować słowo pożegnania...

— Pan wyjeżdża?

— Tak, powietrze Rzymu jest niezdrowe.

— A pan istotnie zdajesz się być chory od niejakiego czasu? dorzuciła nielitościwa pani Eliza...

W tej chwili rozmowa głośna dotąd przy rosnącym na nowo litościwym gwarze, umyślnie obudzonym... przestała dochodzić mych uszów — widziałem tylko pantominę. Pani Eliza usunęła się ku balkonowi, wolnym krokiem p. Stanisław poszedł za nią... Ona była blada znwu — sądzę że ze strachu, on drżący — zapewne z gniewu. W obawie o panią Elizę i tego brutala podsunąłem się, aby na przypadek módz przyjść w pomoc... Niewidziany więc słyszałem rozmowę... Pani Eliza była mocno rozdrażnioną i sądzę, że się obawiała niegrzeczności może jakiej — mówiła mało ale ostro...

— Co ma znaczyć to uroczyste pożegnanie?

— Chciałem raz jeszcze widzieć wesołość pani i swobodny jej szczęśliwy umysł, który wśród grobów ma uśmiech dla wszystkich...

— *Connu... après?*

— Chciałem się polecić pamięci.

— *C'est fait.*

Pan Stanisław popatrzył na nią i słowo honoru panom daję, powtarzam jego wyrazy bez przesady — począł w ten sposób — Kobieto bez serca — uleczyć cię nie potrafię, przekleństwa rzucać nie chcę — powiem ci na pożegnanie jedno, czego niewiesz, że boleść zadana niewinnie, powraca z przewyżką do tego, który ją wymierzył..... ktoś ci za mnie zapłaci.

Pani Eliza roześmiała się, on popatrzył na nią, oczy miał żarzące się jakiemś uczuciem, jakby obłąkane...

— A teraz, mam honor pożegnać.

Eliza nie mówiąc słowa, skinęła głową... Stanisław postrzegł mnie, bom nieco się od okna oddalił i pochwycił pod rękę, wiodąc do progu.

— Muszę i pana pożegnać — rzekł mi, powinszować szczęścia i jako wieszcz wyprorokować mu przyszłość...

— Naprzykład? spytałem.

— Niezdrowo jest klęczeć na zimnej posadzce... i z obawy, aby tej pokory ktoś nie zobaczył... uciekać się kryć do garderoby... Trzeba mieć odwagę klęczenia w obec całego świata i pokazania czoła ludziom.

— Czy pan mnie ma za tchórza? spytałem.

— Nie — ja pana mam za trzpiota... Czy chcesz się bić za to nazwisko... czy potrzebujesz innego?..

— Ale daj mi pan pokój z bitwą, zawołałem śmiejąc się — czy chcesz pan kompromitować kobietę — niewinną.

— Masz pan słuszność, rzekł — maluj dalej i unikaj wzorów wyższego towarzystwa... W ogóle — jakeś się mógł przekonać — kształty nie są klasyczne i dusze także. Bądź zdrów.

— Czy się na tém skończyło? zapytał Tatko.

— Otóż nie, w chwili gdy mi te rady dawał, nadbiega pani Eliza, znać bojąc się historji jakiejś.

— Zaklinam pana, rzekła do niego, nie bądźże... tu jej słów zabrakło — nie bądźże dzieckiem... nie każ mi żałować żem była za dobrą... za nieopatrzną...

Stanisław wyprostował się sztywno.

— A pani! nierozumiem o co idzie... rzekł, mieliśmy krótką artystyczną rozmowę z panem Wacławem i... i skończyliśmy ją w najpiękniejszej zgodzie.

To mówiąc, skłonił się i wyszedł.

Tatko wziął za rękę Wacka — Po co waćpan to opowiadasz? spytał.

— Przed kim? przed swojemi? zawołał Wacek — e! co mi tam! Pani Eliza mnie nudzi... Staś jedzie... mam że się gryźć i taić z tą sceną... co mi tam.

— Cicho — rzekł Beppo — jesteś płochy nad wyraz...

— A ja ci przepowiadam, że ty kapucynem zostaniesz, roześmiał się Wacek. Najlepiej płocho brać rzeczy... nie prawda czcigodny *padre amoroso?*

— Najlepiej — dodał Tatko, mówić jak najmniej, śmiać się jak najrzadziéj a przyjaźnić się jak najostróżniej...

Wacek oczyma szukał komentarza do tych wyrazów na twarzy starca, gdy w progu ukazał się w popielatym kapeluszu poeta.

— Otóż i on — rzekł malarz cicho...

Staś patrzał po twarzach, ręce w tył założywszy, kiwnął głową Tatkowi i zwrócił się do Beppa.

— Cożem to ja was tak dawno nie widział? spytał — co robicie?

— Wybieram się w drogę...

— No — ja także...

— Dokąd...?

— Niewiem, ku krajowi, ku lepszemu powietrzu, ku ciszy, górom, lasom szumiącym i mogiłom starym... A wy?

— Ja? — jadę pracować... w kątku do pracy najdogodniejszym...

— Więc i wy jak ja w tym uroczym Rzymie wyżyć nie mogliście — kochać a żyć z nim nie módz...? nie jest że to dziwném... Oba pewnie tęsknić będziemy po nim i przypominać bolesne chwile pobytu... które się już nie powtórzą... Nie jest że to jedną z tych zagadek życia, iż się najczęściej nie umie wytrwać z tém co się kocha, a krwawo płacze po dobrowolnie straconém?

— Tak, odparł Beppo milczący — ale całe życie jest zagadką...

— I człowiek! westchnął Staś...

— Szanowni bałamuci — przerwał stary, gdyby zagadką nie było wszystko — po cóż by żyć?.. W odkryte karty gry niema... Ale tym czasem — *Buona sera!* —

Wszyscy tak zbierali się wyjechać z wiecznego miasta — od tych więżących ruin, a nazajutrz na sercach zrobiło się im tęskno — i powiedzieli sobie — jeszcze pora... pojutrze... pojutrze tęskno jakoś biło serce, tłumok został otwarty na pół, Rzymu doń całego zapakować nie było można.

Cudną jest natura krajów dziewiczych, stopą ludzką nietkniętych, ale gdzie nie było nigdy człowieka, gdzie ziemią nie owładnął człowiek, tam straszniejsza jeszcze pustka niż na mogiłach... Najcudniejszy krajobraz bez tego *słowa życia*, którém jest człowiek, przeraża czéms trupiem, jakby nieobudzoném do żywota.

Im więcej pokoleń przeszło po ziemi i zasypało ją grobami piętrzącemi się jedne na drugich, tém większy urok ma ta rola dziejowa... której spodnie warstwy nieczytelnemi już dla nas zapisane są głoskami. Dla tego ów Rzym stary, gdzie się odegrywał dramat historji, — gdzie każdy kamień zżył się z ludźmi, gdzie prochy mówią i gdzie gruz jest relikwją, gdzie stopę stawiąc, drży człowiek aby nie sprofanował zgruchotanego ołtarza ofiarnego i nie podeptał pamiątki.

Rzym ten stary przyciąga, wiąże, smuci, ale się kochać każe. Nam szczególniej dzieciom bez matki, ta kolebka cywilizacji i wiary jest drogą, jakby drugą ojczyzną.

Beppo się już był wybrał w drogę, ale oprócz nawyknienia do *immondezajów* rzymskich, niemógł rzucić tego balkonu, zkąd nań niegdyś błogosławieństwa oczu niewieścich spadały i tych miejsc, po których posiał marzenia, a potém — tęskno mu się jeszcze robiło po posągach w Pio Clementino, po Transfiguracji i Madonnie Folińskiej, po Sykstyńskich nadewszystko stropach.

— Po cóż mam jechać umierać gdzieindziej, gdy tu tak słodko dożyć sobie godziny wyzwolenia z marzeniem artystycznem w ręku?? Gdy do wielkiego obrazu szukać będę wzoru, znajdę go w Rafaelowskiej dyspucie.

Rzekł i usiadł znowu na starém wybitém krześle, a Pola uśmiechnęła mu się rzewnie za to, że został, bo jej szczerze żal było ostatniej — siostrzynej przyjaźni, trochę zacukrowanej, jakąś miłością tęskną a chorobliwą...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.